

Zbigniew Wawszczak

O KRWAWEJ PACYFIKACJI „RYBUNI” I JEJ MŚCICIELACH PANTALONACH I PUŁKOWNIKACH O GŁODNYCH LATACH I SYTEJ WSPÓŁCZESNOŚCI...

— W Hadlach, w lesie odkryli kryjówkę. Części ukrywających się Żydów udało się uciec, dwie młode Żydoweczki z naszej wsi złapali. W chytry sposób ich podeszli, mówili: jak nam pokażecie, kto wam pomagał, darujemy wam życie. Ale ta młodsza od razu zrozumiała, że to podstęp. — Marka, ty nie wierz w to, że oni darują nam życie, nie wydawaj nikogo! — wołała do siostry i zaraz też na miejscu ją zastrzelili.

Slucham tej ponurej okupacyjnej historii w małej izbie starego, krytego słomą domku. Opowiadają, na przemian się uzupełniając gospodarze: kobieta w średnim wieku, Józefa Zygmunt — i jej mąż. Rozmowie przysłuchuje się żywa jak srebro, ciemnowłosa, paroletnia dziewczynka. Dlaczego z miejsca, dopiero przecież przed chwilą tu przyjechałem z Przeworska, zabraliśmy się do okupacyjnych tematów? Ano, temat ten narzuca się sam przez się: kiedy wjeżdżaliśmy do Pantalowic, na skrzyżowaniu dróg ujrzałem potężny, dębowy krzyż. Napis, umieszczony wysoko w ramionach krzyża głosił, że tutaj właśnie hitlerowscy oprawcy zamordowali 17 mieszkańców wsi. Wracamy więc do przerwanej opowieści.

— To było 4 grudnia 1942 roku. Przyjechali z tą Żydówką furmanką, ubrani w długie kożuchy i zatrzymali się przed chałupą Wincentego Lewandowskiego. Oczywiście, nikt nie wiedział po co przyjechali, a ponieważ Lewandowski to był nasz krewny, tatuś wysłał mnie a bym zobaczyła co się tam dzieje. Miałam wtedy sześć lat... Pytali Lewandowskiego, czy to prawda, że woził żywność do lasu hadłowskiego. Wujek się wypierał, a wtedy sprowadzili dziewczynę. I ona powiedziała, że woził. Wtedy bili go kolbą karabinu. Sprowadzili jeszcze rodzinę Kusków... I sześcioro osób rozstrzelali. Ale ja już tego nie widziałam, bo ojciec zaniepokojony tym, że długo nie wracam, przyszedł po mnie. Pamiętam tylko, że gdy wychodziłam z izby, podbiegła do mnie stara Kuskowa i chciała mi coś powiedzieć: Józiu, Józiu! — szeptała, ale jeden z Niemców szarpnął mnie za rękę i wypchnął z izby... Nigdy już nie miałam się dowiedzieć, co też stara Kuskowa chciała mi powiedzieć...

— To była pierwsza pacyfikacja — tłumaczy gospodarz — druga nastąpiła niedługo po tym, 6 marca 1943 roku. Po sąsiedztwu, w Łopuszce była taka paniienka co się z Niemcami wodziła, nazywali ją „Rybunia”. Te „Rybunie” zabili partyzanci i

wtedy hitlerowcy wpadli do Pantalowic i zabierali z domów, z drogi, kto się im tylko nawiniął pod rękę. W jednym z domów to nawet tak było, że gospodarz widząc co się dzieje, uciekł, a sąsiad, który do niego przyszedł, został w chałupie i wpadł w łapy morderców.

— Przeprowadzili ich do żydowskiego domu, tam była strażnica — pani Józefa śpieszy z pomocą mężowi. — I wtedy dwóch mężczyzn zdołało uciec, otworzyli jakieś drugie drzwi, wyskoczyli i przez rzeczkę zbiegli... Jeden z tych co się uratował, żyje jeszcze, ale gdy go zaproszono do szkoły, aby opowiedział jak to było, to nie bardzo chciał o tym mówić. Widocznie nie potrafi wracać do tych straszliwych wspomnień...

Pozostało w strażnicy 11 osób. Wystrzelano ich w zdradziecki sposób. Kazano im uciekać i wszyscy zginęli od kul ustawionego przed domem karabinu maszynowego... Pochowano ich szybko, byle jak, dla niektórych nie starczyło nawet trumien. Wieś sparaliżował strach, obawiano się, że nastąpią dalsze mordy, represje... Tym bardziej, że zasięg bestialskich mordów był znacznie szerszy, w tym samym czasie wymordowano również kilkudziesięciu mieszkańców sąsiedniej Łopuszki Wielkiej i Rączyny...

Rewolucyjna przeszłość

A wieś przecież nie należała do uległych. Przed wojną był tu mocny ośrodek ruchu ludowego. Bieda, brak perspektyw, niemożność znalezienia jakiegokolwiek roboty poza rolnictwem — wszystko to wpływało na radykalizację nastrojów. Ludowcy tutejsi, członkowie „Wici” brali udział w pamiętnej akcji strajkowej, solidaryzowali się z postawą mieszkańców niedalekich Krzeczowic (na kanwie strajku robotników rolnych w tej miejscowości powstały „Buraczane liście” Marii Jarochońskiej). Kiedy więc w okresie okupacji schronił się w Pantalowicach znany tutejszym wiciarzom jeszcze z przedwojennych kontaktów działacz komunistyczny z Przeworska, pełniący podówczas funkcję sekretarza podokręgu rzeszowskiego PPR, Mieczysław Kaczor, idea założenia komórki partii natrafiła na podatny grunt. W skład pierwszej w powiecie przeworskim konspiracyjnej organizacji PPR weszła grupa znanych z radykalnych przekonań mieszkańców, jak Władysław Kubicki, Jakub Chmiel, Kazimierz Marowicz. Był wśród nich również obecny sekretarz GRN, Józef Żyła i on też, a także tow. Kaczor opowia-

dali mi o tamtych czasach. Nie tylko peperowcy, ale całe społeczeństwo Pantalowic, zachowało się w okresie okupacji mężnie, solidarnie przeciwstawiając się eksterminacyjnej polityce okupanta. Nie zmniejsza to przecież faktu, że członkowie PPR, jak rodzina Kubickich czy Żyłów ryzykowali najwięcej, udzielając schronienia zbiegłym z hitlerowskich obozów jeńcom radzieckim. Tropieni przez okupanta zbiegowie przebywali nieraz i przez kilka miesięcy u pantalowickich gospodarzy, tutaj wracali do zdrowia. Cała wieś wiedziała o tym, a przecież nie znalazł się ani jeden zdrajca, który doniósłby o tym okupantowi...

Kiedy nadeszło wyzwolenie, działacze konspiracyjnej PPR pociągnęli za sobą wieś. Najbar-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

1 II Wid/1969



009-0002147-00



Nowy, 1969 rok witali wesoło mieszkańcy stolicy i całego kraju.

CAF — Zagoździńską

Skąd się wzięli w Polsce... ulani?

ALLACH AKBAR!

Kruszyniany, Nietury, Łużany... Bohoniki, Malawicze, Drahle... Bohoniki... Dziwnie znajome nazwy! Wobraźnia zaludnia je bohaterami Sienkiewiczowskiej „Trylogii”: Billewiczami i Kmicicami, szlachtą polską, litewską, żmudzka i tatarską...

Szlachta tatarska? Czyżbyśmy ją mieli kiedykolwiek w Polsce? Ależ tak! Żyją i działają wśród nas potomkowie zasłużonych rodów tatarskich, polscy muzułmanie, których nobilitowano i obdarowywano przywilejami w dawnej Rzeczypospolitej. Są w Polsce tzw. wsie tatarskie, których ludność wywodzi się w prostej linii od swych sławnych przodków. Tatarzy byli bowiem nie tylko naszymi przeciwnikami, ale także wiernymi sojusznikami — i to od czasów Grunwaldu.

Sprowadzeni na Litwę przez Giedyminą, Kiejstutą i Olgerda — książąt dostrzegających groźbę krzyżackiego niebezpieczeństwa — Tatarzy polscy walczyli w 1410 roku na grunwaldzkich polach pod wodzą chana Dżelal Ed-Dina, jako sprzymierzeńcy Wielkiego Księcia Witolda. Najężdżającym później ziemie litewskie — koronne ordyncom odpowiadali z godnością: „Ani Bóg, ani Prorok nie każą

wam rabować, a nam być niewdzięcznymi. Pokonując, was, zabijamy łupieżców, a nie braci naszych”. Obradujący w 1569 roku sejm unii lubelskiej zezwolił formalnie kilkudziesięciu tysiącom Tatarów zamieszkujących ziemie Rzeczypospolitej zakładać szkoły, budować meczety i zrównał ich całkowicie ze szlachtą katolicką. Był to jeden z najświetniejszych aktów tolerancji religijnej, jakie wydano w „złotym wieku” polskiej Reformacji.

Po okresie kontrreformacji nastąpił nowy okres świetności polskiej tatarszczyzny. Patronował mu zakochany w muzułmańskich obyczajach i ceniący wysoko bitność wyznawców Allacha pogromca Turków i opiekun stacjonujących w Polsce licznych chorągwi tatarskich — król Jan III Sobieski. Gdy zabrakło w skarbcu pieniędzy na wypłacenie Tatarom zaległego żołdu, zaczęto nadawać im ziemię z tzw. dóbr królewskich. W Kruszyńnianach, Nieturach i Łużanach osiedlił się pułkownik Samuel Murza Krzeczkowski oraz jego żołnierze. Małaszewicze i Lebie-dziewo przypadły w udziale Samuelowi Murzy Koryckiemu. W Drahlach, Malawiczach i Bohonikach obrał so-

bie siedzibę rotmistrz Olejewski, a Studzianka przypadła w udziale Adamowi Ułanowi.

To ostatnie nazwisko odegrać miało w dziejach wojskowości polskiej niemałą rolę. Dzisiejsza nazwa „ulani” pochodzi właśnie od pierwszego ulana — Adama, który okazał się twórcą owych legendarnych już i na trwałe z polskim krajobrazem zrośniętych oddziałów lekkiej konnicy wyposażonej w lance z proporczykami, a później w czaka. Stąd się w Polsce wzięli ulani...

NA APEL KOSCIUSZKI

Nie było w Polsce powstania narodowego ani zrywu niepodległościowego, w którym nie brałoby udziału polscy wyznawcy islamu. Józef Bielak, pułkownik Jakub Azuiewicz, Mustafa Achmatowicz i major Sulejman Biegański — adiutant Tadeusza Kościuszki — oto godni reprezentanci tej patriotycznej tradycji. Na apel Kościuszkowski opuścili oni rodzinne miejscowości i udali się wprost... na pole bitwy. W czasach napoleońskich powołano do życia specjalne oddziały tatar-

(Ciąg dalszy na str. 3)

O KRWAWEJ PACYFIKACJI...

(Ciąg dalszy ze str. 1)

dział aktywni znaleźli się w szeregach wojska, milicji, władz, tworzonych przez Krajową Radę Narodową w ostrej walce z „Londynem”. W Pantalowicach były aż trzy folwarki, powstał więc komitet parcelacyjny, na czele którego stanął jeden z peperowców, Józef Mazur. Nie tak gładko dokonywał się akt dziejowej sprawiedliwości, przekazywanie ziemi tym, którzy od wieków w pocie czoła, w największym mozole ją uprawiali. Przeciwnicy władzy ludowej, wśród których znaleźli się również ludzie zdezorientowani, z ideologią ziemiaństwa nie mający nic wspólnego, nie zasympialli gruszek w popiele. Rozsiewano pogłoski, nawoływano chłopów, by nie brali „pańskiej ziemi... Od skrytobójczej kuli zginął pantalowicki chłop, kierujący akcją parcelacyjną, Józef Mazur... Ale biegu dziejów nie można było już zatrzymać!

Dzisiaj organizacja PZPR liczy w Pantalowicach 48 członków. Realizują oni hasło: członek partii — wzorowym gospodarzem! Takie hasło wysunięto tu stosunkowo niedawno, w czasie ubiegłorocznej kampanii politycznej przed V Zjazdem partii. Każdy, kto zna mechanizm gospodarki rolnej, bynajmniej nie prosty, wie, ile wysiłku, zabiegów i umiejętności wymaga realizacja zadania: być dobrym gospodarzem! Sądzę więc, że podjęte przez pantalowicką organizację partyjną hasło stanowi niebiałą miarę ambicji jej członków!

...w pogoni za współczesnością

U sekretarza GRN, Józefa Zylę, piastującego tę funkcję od lat dziesięciu, zastałem przewodniczącego Rady, Stanisława Kukulskiego, sekretarza organizacji partyjnej, Ryszarda Juško oraz kierownika szkoły, Józefa Chabera. Nie muszę dodawać, że rad byłem z tego spotkania, gdyż ludzie, stanowiący czołowy aktyw wiejski, mogli mi wiele o Pantalowicach opowiedzieć. Doskonale zorientowanym w gromadzkich zagadnieniach okazał się zwłaszcza przewodniczący GRN, Stanisław Kukulski.

— Bez żadnych przechwałek — zaczął Kukulski — możemy powiedzieć, że Pantalowice należą do przodujących, pod względem rozwoju gospodarki rolnej, gromad w powiecie. Przy pomo-

cy powszechnie stosowanych zabiegów, szkolenia rolniczego, zwiększenia zużycia nawozów sztucznych itd. osiągnęliśmy wysoką wydajność czterech podstawowych zbóż, 25,3 q z ha, podczas gdy przeciętna powiatowa wynosi 23,5 kwintala.

Dopiero teraz w pełni uświadomiłem sobie, że znajduję się na pszenno-buraczanej ziemi przeworskiej. Przypomniałem sobie krajobraz, niewysokie, nagie, pozbawione choćby jednego drzewka wzniesienia, nigdzie w ciągu kilkunastu kilometrów drogi, dzielącej Przeworsk od Pantalowic nie spotkałem ani skrawka lasu. To jest właśnie żyźna Przeworszczyzna, najgęściej zaludniony powiat naszego województwa. Właśnie na skutek żyźności tej ziemi, człowiek w ciągu stuleci wytrzebił tu wszystkie lasy, odsłonił garby łagodnych wzgórz, każdą piędź ziemi przeznaczając pod uprawę... Zadana część ziemi rzeszowskiej nie jest tak pozbawiona leśnej szaty jak właśnie Przeworskie...

Karłowate, przeludnione gospodarstwa — to jeden z głównych problemów tych stron. Z jednej strony — podnoszenie wydajności, doskonalenie gospodarki rolnej, z drugiej odpływ zbędnych rąk do pracy poza rolnictwem — to podstawowe sposoby rozwiązania przeworskich dylematów. Batalię o zwyczaj płonów prowadzą również Pantalowice i jak widać, prowadzą ją nie bez sukcesów. Ale aktyw tamtejszy musi zdawać sobie sprawę, że dotychczasowe osiągnięcia stanowią dopiero wstęp, że trzeba iść dalej, nie wolno spocząć na laurach...

Czy „bohaterowie” są zmęczeni?

Prezes GRN, Stanisław Kukulski nie ukrywał przede mną, że mieszkańcy Pantalowic są jak gdyby zmęczeni nadmiarem czynności społecznych. Bo w tej właśnie dziedzinie zrobiono we wsi niemało, ba, Pantalowice uchodzą mogą za pionierów w budowie dróg czynnem społecznym! Przed dziesięciu z górą laty, właśnie Pantalowice, bodaj jako pierwsze w powiecie zbudowały w czynie społecznym kilometr drogi wiodącej przez wieś.

— Inna sprawa — śmieje się przewodniczący — dzisiaj jest to największy odcinek drogi w naszej gromadzie. Wtedy jeszcze nie mieliśmy doświadczeń, to był dopiero początek. Teraz chcemy rozszerzyć ten odcinek, za-

łożyć z jednej strony chodniki. Ale od tamtego czasu w gromadzie przebudowaliśmy w czynie społecznym 12 km dróg... W tym roku utwardziliśmy metodą stabilizacji kilometr drogi, zbudowali dwa mosty. Ogromne również było zaangażowanie społeczeństwa przy budowie szkoły, oddanej do użytku przed dwoma laty. Szkoła kosztowała 3 miliony zł, połowę dało państwo, drugą połowę mieszkańcy w postaci gotówki (po 500 zł od domu, Pantalowice liczą ponad 350 domów) i robocizny...

Obserwujemy pewnego rodzaju zniechęcenie i świadomie chcieliśmy dać społeczeństwu wytchnienie, w ubiegłym roku ograniczyliśmy zakres czynów społecznych...

Coś w tym jest. Przewodniczący pantalowickiej GRN robi wrażenie człowieka rozsądnego i doskonale znającego zagadnienia, którymi z urzędu wypadło mu się zajmować. Nie znajdują więc powodów, aby jego słowa kwestionować. Jednocześnie dostrzegam w tej postawie zmęczenia poważne niebezpieczeństwo dla dalszego rozwoju gospodarczego i kulturalnego Pantalowic. Zwłaszcza, gdyby mieszkańcy tej ambitnej wsi chcieli dłużej pażować... W naszych czasach nie można sobie na to pozwolić!

Szkoła im. 25-lecia PPR

Gospodarze Pantalowic chcieli mi koniecznie pokazać swoją szkołę, chcieli się pochwalić. Nie było to trudne, gdyż szkoła położona jest tuż obok biura GRN, na dawnym pofolwarczym gruncie. Rzeczywiście, szkoła jest ładna, przestronna, czysto i utrzymywana. W nawiązaniu do okupacyjnej działalności partii rewolucyjnej w Pantalowicach, nadano szkole imię 25-lecia PPR. Sądzę, że miano to zobowiązuje do jak najlepszej pracy pedagogicznej, do szerokiego udziału w życiu środowiska i że nauczycielstwo pantalowickie powinno zdawać sobie z tego sprawę. Kierownik szkoły, pan Chaber mówi mi, że jego uczniowie dobrze sobie radzą w dalszej nauce i że prawie 80 procent absolwentów idzie do szkół średnich, ogólnokształcących, zawodowych.

A przed szkołą kamienny pomnik, upamiętniający męczeńską śmierć mieszkańców wsi z rąk okupanta. Pamięć o tych krwawych zdarzeniach jest żywa, o czym przekonałem się przypadkowo, podwołając samochodem szesnastoletniego chłop-

ca z Pantalowic, uczącego się w Przeworsku blacharskiego rzemiosła. Raz jeszcze usłyszałem od niego szczegółową relację o przebiegu pacyfikacji.

Jak zarobić 16 centów

Babcia Eleonora Skrzyńska liczy sobie osiemdziesiąt lat, ale obyczajem wiejskim, nie próżnuje. Zastąpiła ją przy skubaniu pierza. Babcia mieszka wraz z córką i wnukami w nowym, muryowanym domu. Również zabudowania gospodarcze czerwieni nową cegłą. Około 100 domów — to znaczy jedna trzecia — wzniesiona została w ostatnich latach. Pantalowice mają więc jeszcze sporo do roboty: przebudowa wsi z drewnianej na murywaną jest poważnie zaawansowana, ale daleko jeszcze do końca. Widziałem niewielkie, prywatne wytwórnie cegły. Podobnie jak w innych wsiach rzeszowskich, chłopci tutejsi z powodzeniem radzą sobie z chronicznym deficytem materiałów budowlanych...

Babcia Skrzyńska wraca wspomnieniami do czasów niełatwej młodości. Osierocona przez rodziców, którzy byli fernalami, wychowywała się wraz z grupką sierot we dworze. W tamtych czasach chleb był prawdziwym rarytasem, gdy córka dziedzica poczęstowała je kromeczką chleba, to było prawdziwe święto. Bieda była we wsi powszechna, urodzaje ogromnie kiepskie. Dziś kartofli gospodarz z pola przywozi po kilka wozów i to narzeka, że mało, a moi dziadkowie — powiada Babcia — to w płachcie kartofle na plecach przynosili! Jak chciał zarobić 16 centów, to musiał do dnia wyjść na pańskie do roboty i wracał dopiero w nocy...

O pantalonach i pułkownikach

Nie udało mi się zgłębić zagadki, jaką kryje w sobie nazwa Pantalowice. Błąkała się po wsi stara kronika, pani Józefa Zygmont, która od 1947 roku prowadzi we wsi bibliotekę (najpierw punkt biblioteczny, później bibliotekę wiejską, a od 1967 r. — gromadzką) miała ją kiedyś w ręce, ale teraz nie wiadomo co się z nią stało. Była u gospodarza Golonki, który się takimi sprawami interesował, lecz od czasu jak Golonka umarł, gdzieś zaginęła. Więc chyba nazwa bierze się od wyrazu włoskiego pochodzenia... pantalony, czyli mówiąc inaczej spodnie. Tego samego zdania był również sekretarz GRN. A może jeszcze inaczej, dającóż nie puścić wodzów fantazji? Może od imienia Pantelone — postaci starego kupca z commedii dell'arte? Zresztą, niech roz-

strzyga tę kwestię językoznawca, historyk...

Leżą Pantalowice zaledwie o parę kilometrów od starego i uczęszczanego do 16 stulecia szlaku handlowego, który wiódł z Krakowa przez Przeworsk, Kańczugę, Pruchnik i Przemysł na Ruś. To wtedy bogacił się pobliski Pruchnik i wznosił obzerne domy zajezdne. A później rozkwitł Jarosław i o starym szlaku stopniowo zapomniano...

Od tych historycznych dywagacji pora jednak wrócić do współczesności. Jak ogólnie można by zreasumować spostrzeżenia, wyniesione z wyprawy do tej przeworskiej wsi? Pantalowice znajdują się niejako w połowie procesu modernizacji, przebudowy, dostosowania do warunków współczesnego życia. Zwiększają produkcję rolną, budują drogi, domy, zabudowania gospodarcze. I jakkolwiek dużo zrobiono — ogromnie dużo pozostaje jeszcze do zrobienia. Trzeba polepszyć opiekę nad zdrowiem mieszkańców — i w tym celu zamierzają wzniesić czynnem społecznym ośrodek zdrowia. Gminna Spółdzielnia wystawiła nowoczesne, obszerne magazyny ale klub „Rolnika” gnieździ się w dwu izdebkach kiepskiego, starego budynku. W jednej z nich w ogóle się nie pali, więc korzysta się z niej jedynie latem. Potrzebne są lepsze lokale dla sklepów. To zresztą tylko niektóre potrzeby. A wszystkie te zagadnienia tym szybciej będzie można rozwiązać, im większą aktywność wykazywać będzie miejscowe społeczeństwo, im lepiej gospodarować będą wiejskie urzędy, instytucje i organizacje społeczno-polityczne. Równoległe z podnoszeniem gospodarki każdego z rolników, musi być realizowany kompleksowy plan rozwoju usług, zabezpieczenia potrzeb kulturalnych, zdrowotnych dla całej wsi i gromady. Plan taki nie może być zbyt wygórowany, ale też nie powinien zakładać celów zbyt minimalnych, powinien odpowiadać z jednej strony potrzebom i ambicjom, a z drugiej — możliwościom przodującej gromady.

Ach, prawda, miała być jeszcze anegdota o pułkownikach. Pantalowice dały sporo ludzi, od pierwszej chwili, w najtrudniejszym okresie, stanęli do budowy nowej, socjalistycznej Polski. Proszę się więc nie dziwić, abyście przypadkowo, podczas wakacji spotkali w Pantalowicach grupę wyższych oficerów. Są to autentyczni pantalowiczanie, pięciu z nich nosi szlify pułkowników ludowego Wojska Polskiego!

Zbigniew Wawszczak

Jan Grygiel, Edward Wisz

PRZED 25 LATY

I znowu spędziliśmy kolejne święta i kolejny nowy rok 1969 w pogodnej, spokojnej atmosferze domowej, w nastroju optymizmu i zadowolenia z dotychczasowych osiągnięć. Ten okres szczególnie sprzyja wspominkom. Zawsze staramy się zbilansować przeżyte przez nas dotąd lata, wracając myślą do przeszłości, gdyż właśnie tam były źródła naszej dzisiejszej rzeczywistości i lat przyszłych. W roku 1969 minie 25 lat istnienia Polski Ludowej. Jakżeż w innej sytuacji i nastroju obchodziło się Nowy Rok 1945. Kraj był rozdarty linią frontu — w wyzwolonym Lublinie kształtował się ludowy rząd Rzeczypospolitej — Warszawa, Kraków, Łódź, Katowice i Poznań były jeszcze w ręku hitlerowskich faszystów. Również dzisiejsze województwo rzeszowskie front dzielił na 2 części. W wolnym Przemysłu, Rzeszowie, Dębicy, Mielcu, Krośnie utrwał się socjalistyczny porządek i stabilizowała się polska władza, Jasło płonęło systematycznie niszczone przez okupanta, w rękach niemieckich znajdowała się jeszcze część powiatu krośnieńskiego, dębickiego, połowa powiatu jasielskiego i cały powiat gorlicki. Przeprowadziliśmy krótką telefoniczną ankietę sięgającą do wspomnień naszych rozmówców — ludzi, którzy 25 lat temu swoim żołnierskim trudem lub swoim cierpieniem przyczynili się do tego, byśmy mogli dziś beztrudnie spędzać święta. Oni budowali kiedyś naszą rzeczywistość. A oto ich wypowiedzi:



CZESŁAW KUCHNIAK — mjr WP

Służyłem wtedy w I Praskim Pułku Piechoty I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki jako starszy szeregowiec. Stopień ten zdobyłem w bitwie pod Lenino. U schyłku roku 1944 toczyliśmy nad Wisłą w rejonie Jabłonnej i Henrykowa bardzo ciężkie walki. Niemcy chcieli nas za wszelką cenę zepchnąć ze zdobytych pozycji. W ciągłych kontratakach ponieśliśmy duże straty w ludziach. Dlatego też przed samymi świętami nasz pułk odszedł na tyły w okolice Zielonki i Ząbek zluźniony na froncie przez VIII Pułk Piechoty III Dywizji im. Romualda Traugutta. I wtedy, gdy wracaliśmy z linii mijając po drodze

pułk, który miał zająć nasze miejsce spotkałem swojego ojca. Służył w luzującym nas pułku. Uściskaliśmy się serdecznie, splakali w objęciach z radości i (wiadomo jak to na wojnie) rozeszliśmy się po chwili w dwie różne strony. W rejonie Ząbek uzupełnialiśmy straty przygotowując się do styczniowej ofensywy.

W dniu 31 grudnia 1944 roku pełniłem wartę. Była mroźna, księżycowa noc — bardzo spokojna mimo pomruku artylerii. Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że to cisza przed burzą — nasza wielka ofensywa miała ruszyć już za kilka dni. Zresztą zaraz po godzinie 12 skończyło się chwilowe zawieszenie broni i runął na nasze pozycje grad pocisków armatnich. Ale ten osobliwy nastrój tamtego nowego roku pamiętam do dziś.



STEFAN WINTLER — aktor i reżyser Teatru im. Wandy Siemaszkowej.

To były bardzo smutne święta. Spędzałem je w obozie pracy przy zakładach przemysłu

zbrojeniowego w Chemnitz w Saksonii. Po raz pierwszy przywieziono wtedy do obozu całe rodziny z małymi dziećmi, które z przerażeniem, płaczem przyjmowały warunki życia obozowego. To z kolei osłabiało naszą odporność psychiczną. W obozie przebywało więźniowie wielu narodowości. Pozwolono nam zorganizować wspólną choinkę z występami artystycznymi każdej grupy narodowościowej. Miały to być oczywiście występy o charakterze folklorystycznym, pozbawione akcentów patriotycznych i politycznych. Uroczystość odbywała się pod dozorem funkcjonariuszy obozowych. Ja przygotowywałem program polski, w którym udało mi się przemycić emocje patriotyczne i przypomnieć wszystkim kraj. Zainscenizowałem kolędy polskie na tle polskiej wioski i wiejskiego ośnieżonego kościółka. Gdy rozległa się kolęda „Bóg się rodzi”, wśród Polaków słychać było zbiorowy szloch. Słowa „moc truchleje”, wszyscy odebrali jako akcent właśnie polityczny i narodowy, a nie religijny. Ten okres świąteczny i ta nasza skromna obozowa uroczystość w 1944/45 rok pokrzepiły nas, dodały otuchy i siły przetrwania.

SIEDEM LAT „MELUZYNINY”

na weszła z czasem na stałe do repertuaru zespołu.

Sztuką debiutową „Meluzyny” było „Astrolarium z jodłowego drzewa” Tadeusza Sliwiaka z adaptacją muzyczną Andrzeja Listwana. Pierwsza sztuka i pierwszy sukces „Meluzyny”, — III nagroda wojewódzka na Ogólnopolskim Festiwalu Amatorskich Teatrów Poezji. W tym samym roku na scenie ZDK ukazała się również druga kompozycja poetycka „Toast” w scenografii Lubomira Ramockiego. Obydwie pozycje zostały entuzjastycznie przyjęte przez rzeszowską publiczność. „Meluzyna” stała się lokalnym autorytetem w dziedzinie estrady poetyckiej. Od razu też sięgnęła po laury na ogólnopolskich festiwalach i przeglądach.

Następnym sukcesem zespołu jest znowu III nagroda na II Ogólnopolskim Festiwalu Amatorskich Teatrów Poezji z repertuarem rosyjskim i radzieckim w Poznaniu.

W 1964 roku za całokształt działalności ideowo-artystycznej spotyka „Meluzynę” specjalne wyróżnienie — nagroda Centralnej Komisji Koordynacyjnej do spraw Upowszechniania Kultury w Warszawie. „Meluzyna” spełniła pokładane w niej nadzieje.

W tym czasie jednak kiedy zespół na zewnątrz odnosił sukcesy, wewnątrz przeżywał bardzo trudny okres. Ludzie zaangażowani w jego pracę poświęcających mu niemal cały swój wolny

czas — nie są niestety zawodowymi aktorami, pracując także zarobkowo, mają rodziny i cały szereg innych obowiązków. Część weteranów odchodzi.

W okresie swego 7-letniego istnienia „Meluzyna” dała rzeszowskiej publiczności 25 premier i 698 spektakli. Na kilkunastu przeglądach zdobyła w sumie 14 nagród i wyróżnień. Przez te 7 lat przynajmniej czterokrotnie zmieniał się jej skład. Do najbardziej zasłużonych i wyróżniających się w pracy członków zespołu można m. in. zaliczyć Andrzeja Listwana, Romana Konieczkowskiego, Marię Pasierb, Barbarę Mróz i Zenona Czecha.

Specjalny rozdział w życiu „Meluzyny” stanowią szopki noworoczne. Od 1964 roku weszły one jako stałe pozycje do repertuaru zespołu. Początek tej tradycji dała szopka napisana przez Władysława Szwaję z opracowaniem muzycznym Andrzeja Listwana.

W tym roku „Meluzyna” wystawia swoją już piątą szopkę noworoczną.

Zjawiskiem bardzo pozytywnym jest to, że zespół nie pozostaje na uboczu wobec toczących się wydarzeń na świecie. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że w planie pracy na rok bieżący znajduje się sztuka według powieści fantastycznej Stanisława Lema „Obłok Magellana” w adaptacji Erazma Buchelta. Będzie ona jak najbardziej na czasie w związku z ostatnimi osiągnięciami astronautyki i medycyny. (Jel)

Siedem lat temu garstka entuzjastów z Zakładowego Domu Kultury przy WSK w Rzeszowie pod kierunkiem Erazma Buchelta założyła teatr żywego słowa, stworzyła pierwszy profil tego amatorskiego zespołu. Nadała mu nazwę „Meluzyna”. Marzeniem pierwszych zapaleńców było zaszczerpienie na rzeszowskim gruncie nowej, mało popularnej w zespołach amatorskich formy programu poetyckiego. Od początku ambicją kierownika „Meluzyny” stało się takie jej ukształtowanie by stała się ona teatrem zaangażowanym, wyrażającym przez poezję i adaptację prozy postępowe nurty twórczości teatralnej i poetyckiej. Oryginalny i ambitny repertuar od razu pozyskał sobie wielu zwolenników. Nie też dziwnego, że wkrótce wyłonila się potrzeba znacznego poszerzenia zespołu.

Niespełna rok od chwili powstania „Meluzyna” podjęła nową, a stworzoną już w trakcie pracy formę działalności — kabaret literacki. Eksperymentalnie zastosowa-



Anna Zebrowska i Zenon Czech w rewii piosenek „Cała przyjemność po naszej stronie”.

Pożegnanie zasłużonych bibliotekarek w WiMBP w Rzeszowie

W Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Rzeszowie odbyła się w dniu 30 XII niecodzienna uroczystość. Żegnano 3 najstarsze pracownice biblioteki odchodzące na dobre zasłużoną rentę: **MARIĘ KOCEMBĘ, MARIĘ TELEGE, KRYSYNE TOMS** — najstarsze nie tylko wiekiem ale i latami pracy w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej. Maria Kocemba związała się z zawodem bibliotekarskim jeszcze w roku 1922, a z miejską następnie zaś z Wojewódzką i Miejską od roku 1945. Za zasługi dla rozwoju bibliotekarstwa i czytelnictwa została odznaczona Medalem X-lecia, Złotym Krzyżem Zasługi i Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury”.

Maria Telega przeszła do pracy w bibliotece w roku 1950 po 22 latach pracy nauczycielskiej. Była kierowniczką działu gromadzenia i opracowania księgozbioru, a następnie przez wiele lat kierowniczką czytelnictwa. Za duży wkład pracy otrzymała odznakę „Zasłużonego Działacza Kultury”, a w roku 1967 odznaczona została Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Krystyna Toms pracę w WiMBP rozpoczęła w roku 1954 w dziale gromadzenia i opracowania księgozbioru, a następnie w czytelnictwie filii WiMBP przy ul. Czackiego.

Dyr. mgr **ZDZISŁAW DARAZ** wręczył upominki w postaci książek oraz nagrody pieniężne. Uroczystość zakończyła pogawędka przy kawie w niezwykle miłej atmosferze.

B. K.

ALLACH AKBAR

(Ciąg dalszy ze str.)

skie, które walczyły m. in. pod wodzą potomka Adama Ulana — kapitana Samuela. Wstawił się także inni dowódcy tych oddziałów: pułkownik Samuel Murza Achmatowicz, rotmistrz Maciej Azulewicz i kapitan Joachim Murza Korycki. A gdy w roku 1939 runęła na Polskę hitlerowska nawała, oddziałem tatarskim (złożonym tylko częściowo z ułanów pochodzenia tatarskiego) dowodził żyjący po dziś dzień i mieszkający w Gdańsku-Oliwie rotmistrz Aleksander Jeliaszewicz.

POLSCY MUSLIMOWIE

„Moslem”, „muslim”, „musulman”... Różnie nazywa się dziś w Polsce i na świecie wyznawców islamu. Islam — jedna z wielkich religii światowych — skupia obecnie ok. 470 milionów wyznawców na obszarze ciągnącym się od Atlantyku do Pacyfiku (przez

Azję, Indonezję, Afrykę). Ile jeszcze „muslimów” żyje w Polsce? Tylko ok. 1 800 osób. W okresie międzywojennym było ich kilka tysięcy, przed pierwszą wojną światową kilkanaście tysięcy. Jest to więc społeczność zanikająca. W Białymstoku mieszka ich jeszcze ze cztery setki, a w województwie białostockim — ze trzy setki. Mają oni tam swe meczety w Bohonikach i Kruszynianach. Dalsze trzy setki — to mieszkańcy Gdańska i województwa gdańskiego. Można jeszcze znaleźć około trzystu muzułmanów w województwie zielonogórskim, m. in. w Gorzowie Wielkopolskim. W samej Warszawie i na terenie tzw. Wielkiej Warszawy doliczyć się można około 150 „polskich Tatarów”, ale nie wszyscy oni utrzymują kontakt ze swą organizacją religijną — Muzułmańskim Związkiem Religijnym w PRL.

ANDRZEJ TOKARCZYK



JERZY PLESNIAROWICZ — literat.

W grudniu 1944 roku przebywałem w Lublinie i przechodziłem z pracy w PKWN (referat prasowy) do redakcji literackiej Polskiego Radia. W przededniu świąt, jak sobie przypominam wyjeżdżałem jako reprezentant Związku Literatów do Zamościa, gdzie drukowano pierwsze tomy poezji w Polsce Ludowej. Tam ukazała się „Godzina strzeżona” Jastruna, „Póki my żyjemy” Przybosa, „Wojna i wiosna” Putramenta oraz wybór wierszy poetów lubelskich, wśród których znalazły się również moje.

Pamiętam, że wraz z bardzo niskimi poborami w tym czasie otrzymywałem deputaty z dużą ilością drożdży. Te drożdże stanowiły fundament świąt w gronie rodziny i przyjaciół. Oczywiście nie dlatego, że ciasto na nich dobrze rosło, lecz dlatego, że po ich korzystnym spienieniu można było zaopatrzyć się w jakiś prowiant.

W ogóle ten okres świąt i No-

wego Roku przeżywało się w Lublinie bardzo intensywnie. Chodziliśmy na wszystkie imprezy kulturalne, odczyty, prelekcje, zażarcie dyskutowaliśmy — wszyscy byli pełni uśmiechu i nadziei. Wiadomo wtedy już było, że za kilka dni ruszy wielka ofensywa — wielu kolegów i znajomych przygotowywało się do wyjazdu z Lublina do Warszawy czy Łodzi, które wkrótce miały być wyzwolone. Poeta Igor Sikirycki głosem pełnym patosu i siły odczytywał jako spiker rozgłośni Polskiego Radia wszystkie rozkazy i komunikaty wojskowe o wyzwaniu nowych miast polskich.

Te deputatowe drożdże, o których wspominałem przedtem tkwią w mojej pamięci jako symbol twórczego fermentu i szybkiego wzrastania nowej polskiej rzeczywistości na wyzwolonym skrawku ojczyzny.



KAZIMIERZ PISAREK — architekt.

W okresie świąt i Nowego Roku 1944/45 znajdowałem się już w obozie Neuengamess pod

Hamburgiem. Przewieziono nas tam z Oświęcimia na wiosnę 1943 r. gdyż w związku z klęską stalingradzką Niemcy zaczęli powoli likwidować ten obóz. Należałem wtedy do specjalnego „komanda” utworzonego dla odgruzowywania Hamburga, który już wtedy właściwie był jedną ruiną po alianckich nalotach. Pamiętam, iż w dniu 31 grudnia właśnie wróciliśmy z pracy z Hamburga po wielkim nalocie. Nasz obóz nie był bombardowany — alianci o nim wiedzieli i chronili go w czasie nalotów. Panowało już w nim pewne rozprężenie, część SS-manów przeszła do Wehrmachtu, u funkcjonariuszy obozowych wyczuwało się lęk i pesymizm. Ale wśród nas więźniów panował nastrój optymizmu. Grupa Polaków licząca 2000 osób obchodziła święta i nowy rok bardzo uroczystie i nawet radośnie na tyle ile to w tych warunkach było możliwe. Była choinka — śpiewało się kolędy. Między innymi rozlegała się w obozie niemiecka kolęda „Stille Nacht” przy wtorze warkotu samolotów i wybuchu bomb w bliskim Hamburgu. Wiedzieliśmy, że zbliża się już koniec naszej udręki.



EDWARD PYS — ekonomista

To było w Oświęcimiu — tam mnie zastał ten okres. Obóz był w rozkładzie — niszczone masowo akta i ciągle odjeżdżały na Zachód transporty więźniów. Nieliczna grupa Polaków ze starej obozowej gwardii również przygotowała się do ewakuacji. Ja będę te święta i nowy rok pamiętał przez całe życie, gdyż nieco przedtem brałem udział w nieudanej ucieczce z obozu. Organizowała ją grupa ruchu oporu kierowana przez Józefa Cyrankiewicza. Umówiony z nami rotenfuehrer Roth — esesman, był zdradzący i prowokatorem, wydał wszystkich uczestników ucieczki (byli nimi Rudolf Vesely — austriacki komunista, Friemel, także komunista z Austrii, Bernard Swierczyna oficer AK, Piąty — był oficer WP, Ernst Burger — Niemiec, Rajnoch Władysław i Czesław Dusel — Polacy i ja). Ja ocalałem jedynie dzięki temu, że podano mi fałszywy punkt kontaktowy — kolega przekazujący

mi tę informację pomylił się gdyż słabo znał język niemiecki. Na tym fałszywym punkcie kontaktowym nie było nikogo — wróciłem do bozu, udało mi się ukryć swój udział w ucieczce dzięki heroicznej postawie kolegów, którzy w śledztwie zachowali milczenie. Dla nich próba skończyła się tragicznie. 5 zostało powieszonych w dniu 30 grudnia 1944 roku, dwóch się otruli. Mimo tej tragicznej sytuacji udało nam się zorganizować choinkę i namiastkę nastroju świątecznego, choć to nie było łatwe.



STEFAN PISKUS — rencista

Niestety nie pamiętam jakich szczególnie interesujących wydarzeń z okresu przełomu 1944/45 rok. Służyłem wtedy w I Armii Wojska Polskiego w II Dywizji, w IV pułku, 4 korpusu. Zaciągnąłem się w Sielcach w październiku jako szeregowiec. W grudniu 1944 roku maszerowaliśmy w kierunku Warszawy przez Berdyczów, Chełm. Maj-

(Ciąg dalszy na str. 4)

Blżej czytelników

Nowa forma spotkań literackich kształtuje się na naszych oczach w ciągu ostatnich tygodni. Mieliśmy już „klasyczne” wieczory autorskie, prelekcje związane z określonymi tematami i zagadnieniami literackimi. Mieliśmy gawędy na temat doświadczeń pisarza i procesu narodzin określonego dzieła czy utworu. Niedawno warszawscy pisarze wyruszyli do wielkich stołecznych zakładów pracy na spotkania nieco inne — spotkania z aktywnym partyjnym i związkowym fabryk warszawskich.

Owszem — była podczas tych spotkań mowa o konkretnych doświadczeniach danego autora — o doświadczeniach związanych z pracą nad utworami literackimi, które trafiły, lub obecnie trafiają do rąk czytelników, budząc wśród nich żywe zainteresowanie.

Owszem — zapytywano uczestniczących w tych spotkaniach autorów o ich plany i zamiary twórcze.

Ale dominantą literacką spotkań niedawnych były trudne sprawy środowisk kulturalnych — zwłaszcza środowiska literackiego; sprawy, które wciąż przyciągają uwagę opinii publicznej. Nasi słuchacze otwarcie stawiali „trudne” pytania. My nie uchylaliśmy się od dyskusji i odpowiedzi na sprawy „drażliwe”.

Można i trzeba mówić o nich z czytelnikami. Można i trzeba mówić o nich zwłaszcza w tych środowiskach, gdzie spotkań pisarskich odbywało się dotychczas niewiele. Można i trzeba poprzez rzetelną informację o tych spr-

wach walczyć z panoszącą się wokół nich plotką.

Jak mogło dojść do wydarzeń, których punktem kulminacyjnym było sławetne zebranie oddziału warszawskiego ZLP w dniu 29 lutego 1968 roku? Co poprzedziło to zebranie? Jak doszło do rozpowszechniania w warszawskim środowisku literackim nie tylko obcych i wrogich wypowiedzi, lecz tendencji lansowanych przez określone grupy pisarzy — tendencji i wypowiedzi uderzających w Polskę Ludową, antypatriotycznych i antysocjalistycznych? Czy tendencje owe w równej mierze nurtują nadal to środowisko? Czy daje im ono energiczniejszą odpowiedź? — Skąd biorą się w Związku Literatów Polskich „martwe dusze” — zapytał mnie jeden ze słuchaczy w Warszawskich Zakładach M-2. — Skąd biorą się owi literaci, o których nie wiedzą czytelnicy, „literaci”, których twórczości próżno by szukać na półkach bibliotecznych, w wydaniach książkowych, na łamach prasy, a którzy dają znać o sobie przede wszystkim w momentach wicherzycielstwa i rozróby? Jaki wpływ te zadrażnienia i konflikty wywierają na powstawanie książek — i na ich drogę do czytelnika?...

Na te pytania i na wiele innych staraliśmy się dać możliwie wyczerpujące odpowiedzi. Staraliśmy się odpowiadać, informując słuchaczy, dyskutując z nimi, powołując się na doświadczenia własne i doświadczenia kolegów. Mówiliśmy o szkodach, jakie grupki awanturników nieodpowiedzialnymi wystąpieniami wyrządziły całemu środowisku literackiemu. Mówiliśmy o patriotycznej posta-

wie zdecydowanej większości pisarzy polskich i pisarzy warszawskich. Zasnaczyliśmy raz jeszcze to, co trzeba mocno podkreślić: te nieodpowiedzialne, wicherzycielskie awanturnictwo polityczne małej liczebnie garstki rzuca cień na całe środowisko. Powoduje w nim wewnętrzne niepokoje. Budzi także uzasadnioną dezorientację i nieufność ze strony czytelników. Nie powinna się ona jednak rozciągać na całe środowisko literackie.

Miarą zainteresowania, jakie wzbudziły niedawno rozmowy pisarzy z czytelnikami w stołecznych zakładach pracy, jest nie tylko przeciąganie każdego spotkania i związanej z nim dyskusji daleko poza przewidziany czas. Miarą zainteresowania są również wszędzie powtarzające się zaproszenia na następne podobne spotkania. — „Przyjdźcie do nas znowu”, „Dzisiejszy wieczór wiele nam dał informacji, wiele rzeczy wyjaśnił”. „Przyjdźcie i opowiedzcie, jak przebiegło ostatnie walne zebranie oddziału warszawskiego ZLP, jak wyglądała przygotowania do waszego walnego zjazdu” — oto niektóre z propozycji, jakie słyszeli uczestnicy rozmów z pisarzami w zakładach pracy. Rozmów bardzo potrzebnych i pożytecznych. Wiele one dały słuchaczom. Pisarze zaś wynieśli z nich świadomość, że ci ludzie pióra, którzy angażują się w walkę przeciwko wrogim tendencjom, nurtującym wciąż jeszcze pewne odłamy literackiego środowiska, nie są osamotnieni. Ze mają za sobą silne zaplecze: czytelników.

(AR)

MONIKA WARENSKA

Tadeusz Jaszczuk Rozśpiewani chłopcy

Słodkie życie „Trubadurów”

Szalenie trudno umówić się na rozmowę z „Trubadurami”. Dopadłem ich przypadkowo w warszawskiej „Stodole”, na próbie Telewizyjnej Giełdy Piosenki. Nie, tutaj nie było atmosfery do swobodnej pogawędki. — Trudna sprawa — nastroszył wąż Poznański — sam pan widzi co się tu dzieje. Po „Giełdzie” ruszamy do Rzeszowa, gdzie czekają nas kolejne koncerty; może więc późnym wieczorem w „Bristolu”, powiedzmy o wpół do dziesiątej?

„Przyjedź mamę na przysięgę!”

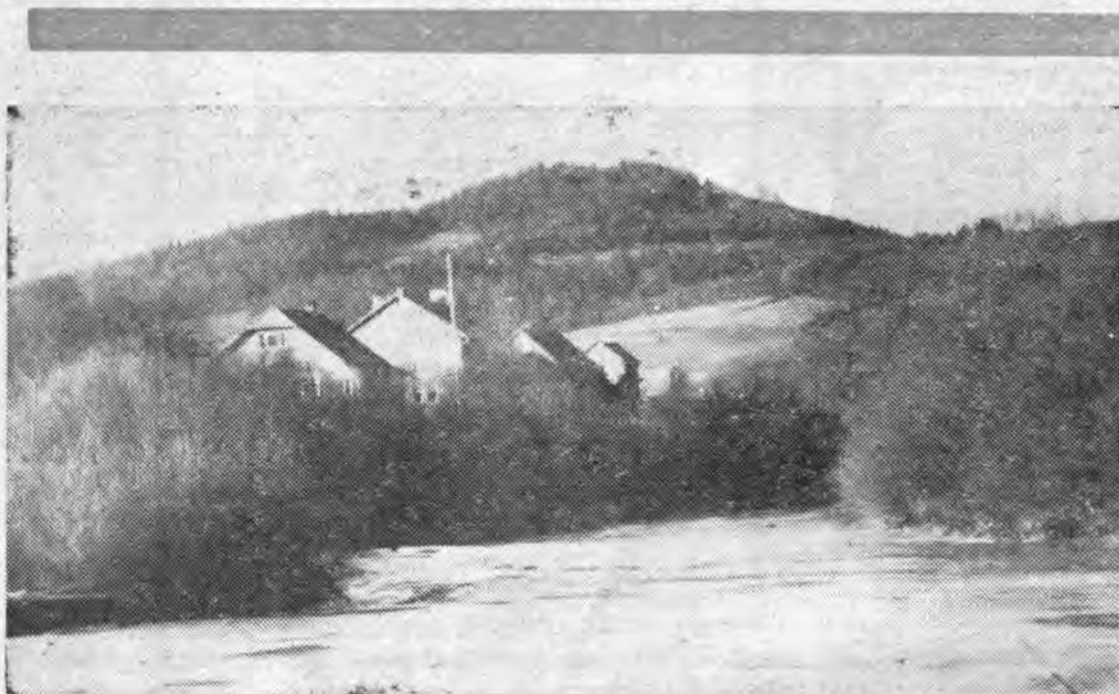
Młodego Czytelnika proszę o wybaczenie za swą niedopuszczalną i karygodną ignorancję, ale przyznaję się bez bicia, że jeszcze przed rokiem nawet nuciąc bezwiednie wraz z piętnastoma milionami Polaków miłutki i popularny szlagier „Znamy się tylko z widzenia”, zupełnie nie zastanawiałem się nad tym, kto jest autorem tej piosenki i jaki zespół śpiewa ją w setkach tysięcy radiodbiorników od Bałtyku po Tatrę... Dopiero w czerwcu tego roku w Opolu nie tylko dane mi było usłyszeć, ale także ujrzeć „Trubadurów”. I przyznaję zupełnie szczerze, że mimo niemal czterdziestki na grzbiecie, ogromnie spodobał mi się ci pełni temperamentu chłopcy, co więcej — kiedy zaprezentowali na estradzie opolskiego amfiteatru piosenkę Klejnego i Fiszera — „Przyjedź mamę na przysięgę”, waliłem brawa i darłem się o bis na równi z moimi nastoletnimi sąsiadami. To była rzeczywiście „bomba”, jakby powiedział mecenas N. po występie „Old Timersów” Zresztą, o dziwo! — podobnego zdania było także festiwalowe Jury, przyznając tej piosence, w wykonaniu „Trubadurów”, nagrodę Prezydium Miejskiej Rady Narodowej Opola.

„Nie przynos mi kwiatów, dziewczyno!”

Młodzi mężczyźni coraz bardziej upodabniają się do młodych dziewcząt, choćby przez

stroje czy fryzury... Nie mam zamiaru pogłębiać tego tematu, już obficie eksploatowanego przez satyryków i humorystów; zostawmy pole do popisu psychologom i socjologom. A ze zjawisko to zaczyna się pojawiać w naszym siemieniowym kraju, niech świadczy fakt ogromnego powodzenia piosenki „Skaldów” — „Nie całuj mnie pierwsza!”, a po niej — nowego przeboju „Trubadurów” — „Nie przynos mi kwiatów, dziewczyno!”. Tej ostatniej piosence zawdzięczam możliwość spotkania się w warszawskim hotelu „Bristol” z czwórką sympatycznych „Trubadurów” — Ryszardem Poznańskim, Krzysztofem Krawczykiem, Sławkiem Kowalewskim i Marianem Lichtmanem, wykonywali ją bowiem po raz szósty na wspomnianej wyżej Telewizyjnej Giełdzie Piosenki w dniu 2 grudnia na żądanie 4 tysięcy widzów, gdyż tyle właśnie głosów uzyskała. Nie przynos mi kwiatów, dziewczyno!” w konkursie „Giełdy” na najlepszą piosenkę.

Ale — czy rzeczywiście nasze zespoły piosenkarskie są tak rozpieszczane przez dziewczyny i życie? To, co dotychczas osiągnęli zawdzięczają tylko własnej pracy nad sobą i nauce. Tak, nauce. To są wierutne bzdury, co wypisują niektórzy na temat rzekomej ignorancji muzycznej liderów młodzieżowej piosenki. Słynni „Skaldowie” od wczesnego dzieciństwa uczyli się i studiowali muzykę — od podstawowej szkoły muzycznej po PWSM. Osiągnęli sukces dzięki rzetelnej wiedzy muzycznej i swoim nieprzeciętnym zdolnościom. A „Trubadurzy”? Krawczyk Kowalewski i Lichtman mają poza sobą wokalistykę w średnich szkołach muzycznych Łodzi. Ryszard Poznański — kierownik muzyczny zespołu? Wiele by o nim pisać. Ukończone liceum muzyczne w Gdańsku Poważne studia, z teorią muzyki włącznie, w sopockiej Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej. Był wyróżniającym się studentem



Fot. M. KOPEC

PRZED 25 LATY

(Ciąg dalszy ze str. 1)

danek, Lublin, Puławy. W tym czasie otrzymałem awans na sierżanta. Nie pamiętam już dokładnie jak spędziłem same święta i Nowy Rok, to już przecież tyle lat — ale zdaje się była jakaś choinka i uroczystość noworoczna. Wszyscy byliśmy spragnieni walki po okresie ćwiczeń i obozach szkoleniowych. Rwaliliśmy się na front z nadzieją, iż to szybko już nastąpi i istotnie w czasie styczniowej ofensywy wzięliśmy już udział w walkach.



PAWEŁ KARP — przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej.

Święta i Sylwester 1944 roku? Chwileczkę (namyśla się. Po

chwili). Acha. Już wiem. Byłem wtedy w grupie partyzanckiej Armii Ludowej pod dowództwem „Tomka”, Wojciecha Kwiosza. Po udanej akcji na terenie powiatu gorlickiego rozdzieliliśmy się. On poszedł bliżej Jasła, ja natomiast ukrywałem się w bunkrze w lesie. 24 grudnia, w wigilię, dotarła do mnie smutna wiadomość: zginął „Tomek”. Otoczony przez Niemców bronił się do ostatniego naboju. Trzeba przy tym wspomnieć, że zarówno powiat gorlicki, jak i jasielski znajdowały się jeszcze pod okupacją niemiecką. Ale już w obu powiatach działały w konspiracji rady narodowe — powiatowe i gminne, które już kreśliły śmiałe plany odbudowy tego terenu, z chwilą kiedy zostanie on wyzwolony.

Faszyści zdając sobie doskonale sprawę ze swojej klęski, zastraszają terror. Dzień w dzień giną z rąk hitlerowskich siepaczy zarówno partyzanci, jak i osoby cywilne. Ale godzina wyzwolenia jest już bliska.

KAZIMIERZ DOBOSZ — sekretarz Prezydium PRN w Rzeszowie.



Byłem wówczas w oficerskiej szkole łączności w Zamościu. Dokładnie w Sylwestra 1944 r. stałem na warcie przy magazynie broni. Pamiętam dobrze ten dzień, bo spotkała mnie przynajmniej jedna, która potem stała się przedmiotem żartów kolegów. A więc jak już powiedziałem — stałem na warcie. Wiedziałem, że koledcy zdobyli nieco „księżycówki” czyli samogonu, ściągnęli orkiestrę i postanowili zorganizować Sylwestra w świetlicy. Obiecałem imnie złożyć o godzinie 22.

Tymczasem zerwał się wiatr i zaczął padać śnieg. Podniosłem kolumnę płaszcza, by ogrzać

marznące uszy. Nagle usłyszałem czyjeś kroki. Błyskawicznie obróciłem się odbezpieczając karabin. Kroki ucichły. Skojarzyłem sobie jednak ten fakt z tym, co opowiadało w Lublinie działał Rząd Tymczasowy. Na zachodzie kraju w dalszym ciągu toczyła się wojna. Wojska radzieckie i polskie dotarły już na przedpola Warszawy. Na Zamęszczynie grasowały reakcyjne bandy. Z ich rąk ginęli żołnierze, członkowie PPR, SL, bezpartyjni, ludzie, którzy uczuciem i pracą związani byli z nowym ustrojem.

Teraz zaskrzypliły drzwi od stodoły, w której zgromadzone paszę dla koni. Bandyci albo złodzieje — przemknęło mi przez myśl. Stój, kto idzie! — krzyknąłem. Stój, bo będę strzelał! Znowu skrzip. Naciśniętym językiem spustowy. Gruchnął strzał. Przybiegli żołnierze z wartowni. Powiedziałem, że w stodole ukrywa się bandyta. Nie było nikogo. Okazało się, że to wiatr był sprawcą owego rumoru. Najedłem się tylko wstydu.

Oczywiście na zabawę noworoczną nie poszedłem. Jakaż bowiem panna tańczyłaby z żołnierzem, który przestraszył się wiatru.



JÓZEF TKACZOR — dyrektor Szpitala MSW.

Wtedy przebywałem jeszcze w obozach koncentracyjnych. Najpierw było Sachsenhausen. W tym obozie trzymani byli również tow. Władysław Kruczek i tow. Leon Korga. Jak wyglądało życie w obozie — nie trzeba chyba przypominać. Każdy z nas nie wiedział czy dożyje dnia jutrzejszego. Choinka? Nie mogliśmy sobie pozwolić nawet na namiastkę choinki. Z początkiem stycznia 1945 r. wywieziono mnie transportem do obozu w Belsenbergen. Jechałem z myślą, że już stamtąd nigdy nie wrócę. Wiedzieliśmy bowiem, że z Belsenbergen nie wraca nikt. Tu ludzie marli przede wszystkim z głodu. Tych natomiast, którzy przetrzymywali, dziesiątkował tyfus.

W Belsenbergen nie wydzielano żadnych racji żywnościowych. Codziennie, w południe,



prof. Jabłońskiego (kompozytora muzyki do słynnego niegdyś „Siwego włosa”). Potem praca w Filharmonii Bałtyckiej na stanowisku pierwszego fagocisty orkiestry.

Dla jednych, muzykowanie w zespole Filharmonii to szczyt życiowych marzeń. Dla Poznakowskiego nie. Ma inne ambicje. I oto ląduje znienacka w gdańskim klubie młodzieżowym „Rudy kot”. Stamtąd już tylko krok do pierwszego chyba w naszym kraju profesjonalnego zespołu — mocnego uderzenia „Czerwono-Czarni”. Zostaje kierownikiem słynnego zespołu, komponuje. To przecież Ryszard Poznakowski jest twórcą szlagieru „Trzynastego”, który do niedawna nuciła cała Polska. Jest również kompozytorem muzyki do „Małego księcia” (słowa Dzikowskiego), pięknej lirycznej piosenki, którą tak świetnie wykonuje Kasia Sobczyk.

Zdążył jeszcze odbyć z „Czerwono-Czarnymi” wielkie tournée po USA i Kanadzie. Był także przez niedługi okres kierownikiem Telewizyjnej Giełdy Piosenki. Wreszcie, na przełomie roku 1967-68, dołączył do „Trubadurów”. W bardzo poważnej mierze chyba właśnie Poznakowski wyprowadził ten zespół na szerokie wody.

„Krajobrazy”

W bardzo zamierzonych czasach, bo w roku 1961, kiedy nie było jeszcze „Czerwonych Gitar” ani „No to co”, a „Skaldowie” wypisywali na dostojnych murach Krakowa — „Juzek jest głupi”, zorganizowane w Szczecinie tzw. Festiwal Młodych Talentów, na którym zjawili się m. in. trzech smarkatych uc-

niaków szkoły muzycznej z Łodzi — Krzysiek Krawczyk, Sławek Kowalewski i Maniuch Lichtman. zdobyli nawet wówczas jakieś wyróżnienie. Razem uczyli się wokalistyki, razem stanowili zgraną paczkę kumpli i razem sobie prywatnie śpiewali przy wszystkich nadarzających się okazjach. Śpiewali, śpiewali, aż wyśpiewali sobie engagement pod patronatem łódzkiej „Estrady”. Był to już rok 1965. Jednakże dwa lata komiwojażerskich doświadczeń w estradowym zespole rozrywkowym nie przyniosło im większych satysfakcji ani sukcesów. „Trupa” uległa rozbięciu, przekształciła się w zespół — efemerydę „Izo morf-67” i „bigbičila” w zetemesowskich i studenckich klubach. Trzeba było dopiero Ryśka Poznakowskiego, który zwrócił na chłopców uwagę i nadal im kierunek.

Chcą tworzyć i wykonywać dobrą rozrywkową muzykę i piosenkę, ze szczególnym uwzględnieniem — jak to nazywa R. Poznakowski — folkloru wschodniosłowiańskiego, wykorzystując i przetwarzając twórczo charakterystyczne pierwiastki tego folkloru. Można te tendencje zaobserwować choćby na przykładzie „Lubuski” czy tak ostatnio popularnej „Kasi”.

„Znamy się tylko z widzenia”

Ze słyszenia znamy ich chyba wszyscy, a z widzenia — coraz więcej młodych Polaków. Wbrew powierzchownym pozorom, codzienne życie szczęśliwców z zespołu „Trubadurzy” wcale nie jest zbyt słodkie. Organizująca ich występy „Estrada Lubuska” dba o to, aby chłopcom nie nu-

dziło się z bezczynności. Przećnięcie więc na trzydzieści dni miesiąca przez dwadzieścia dwa — przebywają w koncertowych rozjazdach. Tylko od czasu ostatniego Festiwalu Piosenki w Opolu mają na swoim koncie dziewięć „obsłużonych” województw — a więc opolskie, poznańskie, gdańskie, olsztyńskie, zielonogórskie, wrocławskie, szczecińskie, oławostockie, rzeszowskie. Dają po dwa koncerty dziennie. Życie w nieustannym pośpiechu. Przejazdy z miasta do miasta, posiłki (nieregularne) w przygodnych restauracjach, instalowanie aparatury, próby, koncerty, po kilka godzin snu, nie zawsze w najlepszych hotelach — oto jak wygląda rozkład zajęć wędrowniej trupy muzyków i piosenkarzy.

Na szczęście są jeszcze młodzi i zdrowie im dopisuje. O czym marzą? Najpierw o odpoczynku. Co prawda na dłuższy wypoczynek nie ma co liczyć, ale już cieszą się na dwutygodniowy wypadek do Zakopanego, gdzie w miarę w spokojnych warunkach przygotowywać będą nowy program. To będzie w styczniu. Marzą także o występach w Związku Radzieckim. Słyszeli wiele o wspaniałej radzieckiej publiczności. Marzenie to, jak sądzą, ma realne podstawy. Już obecnie w skład swich instrumentów włączyli „Trubadurzy” oryginalne rosyjskie bałajki.

Już późno. Jeszcze tylko autografy „Trubadurów” na familijnym zdjęciu wraz z pozdrowieniami i serdecznymi życzeniami świąteczno-noworocznymi dla wszystkich sympatyków Zespołu. I — trzymajcie się chłopcy! Szczęśliwej drogi!

KONKURS NA „NAJLEPSZY RYSUNEK I GRAFIKĘ MIESIĄCA” TRWA NADAL

W ubiegłym roku w wyniku wspólnej inicjatywy Wydziałów Kultury Prez. WRN i MRN Sekcji Ogólnej Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków, Redakcji „Nowin Rzeszowskich” oraz Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki w Rzeszowie, który udzielił pomieszczeń na ekspozycję, organizowany był konkurs plastyczny na rysunek i grafikę z tytułowany Konkurs „Na Najlepszą Grafikę i Rysunek Miesiąca”.

Ostatnio w kawiarni Klubu eksponowane są prace, które uzyskały nagrody w poszczególnych miesiącach trwania tego konkursu. Organizatorzy zaproponowali, by niezależnie od przyznanych nagród, pod koniec trwania konkursu przyznana była również specjalna Nagroda Publiczności z prac prezentowanych na wystawie.

Ankieta jest w zasadzie anonimowa z tym, że ci z uczestników, którzy podadzą swe dane wezmą udział w losowaniu nagród książkowych. Ubiegłoroczny konkurs na „Najlepszą Grafikę i Rysunek Miesiąca” zostanie zakończony w niedzielę, 5 I 1969 roku.

Organizatorzy postanowili konkurs ten kontynuować również w roku bieżącym. Skłania ich do tego wysoki na ogół poziom prac nadsyłanych na kolejne miesięczne konkursy.

Organizatorzy wyciągnęli również pewne wnioski z konkursu ubiegłorocznego i postanowili zmienić niektóre punkty jego regulaminu.

Dla przypomnienia podajemy, że konkurs na „Najlepszą Grafikę i Rysunek Miesiąca” jest konkursem dla artystów plastyków naszego województwa. Podajemy tę informację, aby uniknąć kłopotów z odsyłaniem prac plastyków amatorów, którzy nadsyłali w ubiegłym roku prace na w/w konkurs i zgodnie z przyjętym regulaminem nie mogli w nim uczestniczyć. Aby zachęcić uczestników konkursu do szerszego w nim udziału organizatorzy postanowili zmienić punkt regulaminu dotyczący ilości nadsyłanych prac. W myśl aktualnie obowiązującego regulaminu każdy uczestnik może nadać do woli ilość prac z zakresu grafiki i rysunku. Winny to być prace nigdzie dotąd nie eksponowane, podpisane godłem. Do prac winna być dołączona koperta z tym samym godłem, a zawierająca imię, nazwisko i adres autora. Termin składania prac do 10 każdego miesiąca, pod adresem: Sekcja Ogólna ZPAP Okręg Rzeszów, Dom Sztuki, ul. 1 Maja 18 z dopiskiem „Konkurs na Grafikę i Rysunek Miesiąca”.

Biorąc pod uwagę przesunięcie terminu zakończenia ubiegłorocznego konkursu Organizatorzy wyjątkowo w miesiącu styczniu dopuszczają możliwość składania prac konkursowych do 20 I br.

W czasie trwania tegorocznego konkursu, przewiduje się możliwość poszerzenia składu Organizatorów tej inicjatywy. Czynione są również starania, by z prac nadsyłanych na konkurs wydać tekę grafiki i rysunku, bądź spopularyzować je za pośrednictwem serii pocztówek.

Komitet Organizacyjny wystawy-konkursu na „Najlepszą Grafikę i Rysunek Miesiąca” zapraszając do aktywnego uczestnictwa w nim nadal artystów plastyków województwa rzeszowskiego, dziękuje im za dotychczasową współpracę. Składamy również serdeczne podziękowanie dla członków jury, którzy włożyli sporo wysiłku, by wybrać i nagrodzić prace najlepsze.

ustawiano na placu beczkę po śledziach, wypełnioną do połowy cuchnącą mazią, na którą składała się woda i zatechła mąka ziemniaczana. Kto miał siły dotrzeć do owej beczki, ten nabierał tę małą gołymi rękoma (miśsek i łyżek nie mieliśmy) i jadł.

Przypominam sobie, że w sumie było nas w tym obozie kilkudziesięciu lekarzy: Duńczyków, Holendrów, Francuzów, Polaków i Rosjan. Ocaleli tylko Polacy i Rosjanie. Pozostali nie wytrzymali nieludzkich warunków życia.

I choć kilkakrotnie, w myślach, żegnałem się z rodziną zamieszkałą już na wyzwolonych skrawkach ojczyzny, jednak to piekło udało mi się przeżyć.

LECH LABAJ
— dyrektor
Technikum
Mleczarskiego.



Sylwestra 1944 r. spędzałem w Starym Sączu. Miasto znajdowało się w rękach niemieckich.

Pracowałem tam w mleczarni, w której działała komórka PPR. Choinka? Zabawa? Myśmy jeszcze byli w niewoli. Zresztą — nie mogłem się otrząsnąć z szoku po tragicznej śmierci ojca, Leona Łabaj, neuczniela, którego rzeszowskie gestapo za tajne nauczanie razem z Aurigą zatłukło na śmierć.

**FRANCISZEK
DĄBAL** — prezes
WK ZSL.



Święta i Nowy Rok 1944 powitaliśmy już na wyzwolonych terenach Rzeszowszczyzny. Przebywałem wówczas w Mielcu, gdzie pracowałem w spółdzielczości handlowej. Ale kilkanaście kilometrów na zachód stał jeszcze front. Nowy Rok spędziłem u rodziców w Tuszowie. Mieszkali tam u jednego gospodarza wraz z innym rodzinami, ponieważ ich wieś rodzinna — Pławo znajdowała się pod ciągłym ostrzałem artylerii niemieckiej i dowództwo radziec-

kie w trosce o bezpieczeństwo ludności cywilnej zaleciło opuszczenie domostw mieszkańcom tej wioski.

Mimo trudnej sytuacji ludzie byli zadowoleni. Wszędzie działały już organa władzy ludowej. Mieleckie sklepy spożywcze były jako tako zaopatrzone, m. in. dzięki temu, że pomogło nam dowództwo radzieckie, choć żołnierzom też się nie przelewało. W wyzwolonych wioskach organizowaliśmy koła ZMW „Wici”. W Sylwestra wystąpiliśmy z programem artystycznym przed wdzięczną publicznością — żołnierzami radzieckimi stacjonującymi w Mielcu, którzy serdecznie i gorąco nas oklaskiwali.

**WŁADYSŁAW
HESS** — kierownik
działu
przewozów Rzeszowskiego
Przedsiębiorstwa
Transportu Budownictwa



31 grudnia 1944 r. znajdowałem się jeszcze w obozie jenieckim w miejscowości Dobryniewo. Dokładnie 1 stycznia 1945 r.

Niemcy zarządzili ewakuację obozu. Blisko 5 tys. jeńców kampanii wrześniowej (znajdowałem się w grupie obrońców Helu) pilnowanych przez batalion esesmanów z psami maszerowało przez 5 dni bez żywności i napojów.

Do dziś pamiętam ten „marsz śmierci” 25 - stopniowy mróz, duża kolumna jeńców poubieranych w tachnaw, szukania psów i straty. Kto zasiał — tego faszyści dobijali. Co było potem? Wyzwolili nas żołnierze radziecy. Do kraju wracaliśmy wynędzniali, obdarci, ale szczęśliwi, że wreszcie wojna się skończyła, że jesteśmy wśród swoich.

25 lat. Ileż wspomnień, wzruszających momentów. Dla niektórych przełom roku 1944/45 był momentem najszcześniejszym — żyli i pracowali już w wyzwolonej ojczyźnie. Dla wielu były to dni nadziei, choć żaden z nich nie był pewny czy przeżyje. I jeżeli dziś w jubileuszowym 25-leciu Polski Ludowej szczególnie mocno akcentujemy potrzebę utrzymania pokoju i z niepokojem śledzimy rozwój wydarzeń w NRF, to również

dlatego, że w ciągu swoich tysiącletnich dziejów naród polski ani razu nie miał szczęścia przeżyć 25 lat w pokoju. Chwile wytchnienia były krótkie, a po nich przychodziły wojny, które obracały nasz kraj w perzynę. Ostatnia, również wywołana przez Niemców, omaal nie zakończyła się biologiczną zglądą naszego narodu.

Potem były lata odbudowy. Lata trudne, wymagające wielu poświęceń i wyrzeczeń. Ale jeżeli dziś szcycimy się sukcesami mamy również to na uwadze, że były one możliwe dzięki socjalizmowi, dzięki partii. Życie potwierdziło słuszność tego programu, który po KPP, PPR przejęła z kolei PZPR, od 20 lat kierująca twórczą pracą narodu i będąca organizatorką naszych osiągnięć. Dlatego żegnając stary 1968 rok i witając nowy z ufnością i wiarą patrzmy w przyszłość Polski.

Jesteśmy pewni, że będzie to okres dalszych zwycięstw i sukcesów podnoszących rangę naszej ojczyzny na arenie międzynarodowej i na coraz wyższy poziom duchową i materialną kulturę narodu.

**JAN GRYGIEL
EDWARD WISZ**

Roman Turek

Notatki z wycieczki do Kraju Rad (III)

„ZBAWIENNA MYŚL...”

Z głową przepelnioną sprzecznymi myślami, skromnie zajęłem wygodny kąt w pokoju Tadeusza. Spodzielając się sfinansowania spraw związanych ze swą twórczością, on sam, roztelefonował się w poszukiwaniu interesujących go redakcji. Niełatwe to zadanie w mieście o siedmiu milionach mieszkańców dla przybyłego tu z zagranicy wycieczkowiec, zwłaszcza że po-

Herbata — a cóż to za posiłek? Zwykła, zabarwiona woda. Jedni piją ją osłodzoną, drudzy bez cukru. Ci i tamci, napiwszy się jej, czują jednakową sytość; ciała ich, po słodzonej czy nie, na gibkości nie tracą ani trochę, a poruszają się... Szparko, jakby ich wiatr nosił.

Porozumiewasz się sam z sobą, zbiegłem o dwa piętra niżej, gdzie prezentują wypchany

pojedyncze osoby do swych zajęć w tysiącach przedsiębiorstw i instytucji. Nikt tu z nikim nie przystaje dla ucięcia sobie pogawarki o tym co się śniło w nocy. Spieszą się wszyscy. Tak jest zresztą w ciągu całego dnia, o czym przekonałem się w dniach następnych.

Budzę Tadeusza, namawiam, by wstał i zbliżył się do okna, pomóż mi podziwiać życie ulicy

go czasu, z zegarkiem w dłoni licząc najpierw ciężarówkę. W ciągu jednej minuty śmignęło ich przed moimi oczami: 19 pustych, jedna napełniona kamieniem, pięć z kufami na mleko i cztery o karoserii krytej. A zatem co dwie sekundy ciężarówka. Zaczynam obliczać auta osobowe. Za nic nie wychodzi. Gdyby ktoś czas na zegarku kontrolował, pozwalając mi zająć się ruchem ulicy jedynie, może by. Nie, to istna kolowaczka. Za pomnikiem Majakowskiego, na skrzyżowaniu ulic, podobnym do ogromnego rynku, wierci się jak piskorz w ukropie umundurowany regulowszczyk z pałeczką w rękę, którą wywijając utrzymuje w ryzach ruch uliczny niby otoczony rojem wielkiej liczby śpiwaków — dyrygent.

Zmęczyła mnie obserwacja ulicy. Odchodzę od okna, myję się, ubieram. Po wysłamowaniu jełit w dniu wczorajszym gorącą wodą odczuwam bardzo przyjemny głód. W barze o dwa piętra niżej zastanawiam się co zjeść, byle tanio, syto i dobrze. Liczę się muszę z każdą kopiejką. Bravo, już mam. Butelka „kefiru” i dwie pajdy czarnego jak święta noc, ale smacznego chleba.

Ech... wszystko razem osiemnaście kopiejek, tanio jak barszcz. A mnie brzuch, omal że nie pęka z przejedzenia! Hurra... przy takim menu półrublowka na całkowite utrzymanie opędę się dziennie.

Dochodzi godzina dziesiąta. Zjawia się p. Izabela, przewodniczka nasza, informując, że przeznaczony do naszej dyspozycji samochód oczekuje przed hotelem. Wsiadamy, jedziemy. Bez troski kierowca więcej ma głowę zwróconą ku siedzącym na tylnym siedzeniu Polakom niż poświęca uwagi przed siebie, na jezdnię. Bawi gości rozmową, prezentuje godne widzenia obiekty, pokazując je obu rękami. Puszczona wolno kierownica sama pojazd prowadzi w tym ulicznym roju.

A bodajżeś zaniemówił ugrzechniony lekkoduch. Przecież

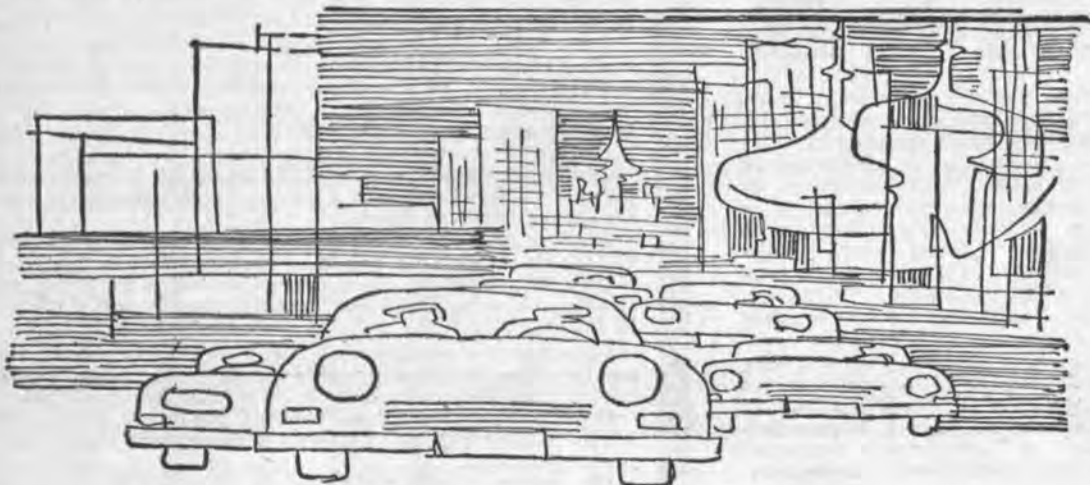
nam tu serce bić przestaje z niepotrzebnych emocji.

Zajechał szczęśliwie, chwalił Boga. Konferencja w siedzibie pisarzy radzieckich trwała do godzin obiadowych. Trzeba było opracować plan naszego wojażowania, ustalić środki lokomocji i wiele innych spraw z pobyttem naszym związanych pozałatwiać. Koledzy, pisarze radzieccy reklamują restaurację, gdzie z racji naszych dostojności posilki jadać powinniśmy.

No cóż, skoro się wlało między... artystów, ale ja niedużo więcej niż osiem rubli kapitału mam tylko w kieszeni. Zgrzytnąłem cicho kosztownym uezębieniem, lecz podniosłem głowę w górę z miną zbankrutowanego hrabiego, wstąpiłem w progi wspaniałej sali restauracji pierwszej klasy. Na ścianach rzeźbione boazerie z drzewa, jakieś tam balkony czy łóżce, na podłodze rozkudłone dywany, lustra w okolo, stoły masywne, fotele głębokie. Fertyczne kelnerki z wielo obiecującym uśmiechem gotowe są podać marcepanem nawet. A u mnie osiem rubli dokładnie podzielone na pozostałe trzynaście dni pobytu.

I znowu, pozostawiony sam sobie, rozmyślałem, kominowałem. Jak wyjść z impasu niedoboru budżetowego z honorem i nie okazać się prawdziwym pisarzem, to znaczy człowiekiem z dziurami w kieszeni. I tu aniół stróż chyba natchnął mnie myślą zbawienną...

Masz drugie portki przecież ośle dardanelski! I na cóż ci one potrzebne? Temperatura w Moskwie znośna przecież, nie zimniej tu niż w twojej ojczyźnie. Deszcz tylko leje bez przerwy. Cóż jednak na to drugie portki poradzisz? Nie zastąpią one parasola, o nie! Opanowany budzącą się we mnie nadzieją na wzbogacenie się, wyruszyłem z hotelu z postanowieniem dopytania się o hałaciarza, parającego ciuchów. Moje portki zagraniczne przecie. A nuż i zapłaci z pięć rubli. A może siedem da? Podreperuję swoje finanse, ej podreperuję.



Rys. J. SIENKIEWICZ

rozumieć się musiał z polskorozyjskim słowniczkiem w rękę. Aparat zaś telefoniczny w naszym pokoju było to bydlę nieposłuszne, istny bałamat. Zamiast łączyć według nakręconego numeru z rozmówcą w mieście, uparł się skontaktować go z coraz to innym, a raczej inną mieszkanką „Pekinu”. Hotel ten wchłonać by mógł i dać wygodne mieszkanie całej ludności naszej Żołyni czy Pruchnika. Dochodzące mnie od trzymanej przez p. Tadeusza słuchawki głosiki były coraz to milej brzmiące jak trąb anielskich pienia.

Ignorując wyraźne te prowokacje p. Tadeusz z coraz to większą pasją jeździł numeratorem na aparacie telefonicznym, tam i nazad, żądając od tej bezdusznej maszyny nieco powagi i włączenia się do telefonicznej sieci miejskiej.

Pozostawiony samemu sobie rozmyślałem, kombinowałem. W oparciu o wielokrotne doświadczenia zdobyte podczas kontaktów z urzędami ojczyzny mojej, wątpiłem, aby zapomniana sprawa mojego akredytu za granicą załatwiona została przed moim powrotem jeszcze do Warszawy. Bywało, że na nagniotki nadeptywałem biurokracji rodzimej, bez reakcji, ale i bez rezultatu, co dopiero o tysiące mil, przez telefon w dodatku!... Jeśli więc nie zostaną stąd odzupasowany, pobyt mój trwać tu będzie dwa tygodnie. A ja kapitału mam tylko osiem i pół rubla! Tego tam tysiąc złotych polskich w portfelu, zapowiedział celnik w Warszawie, że miło mu będzie widzieć je podczas mojego powrotu w całości. Po krótkotrwałym zastanowieniu się humor żołnierza na froncie opanował mnie w całości. W trudniejszych jeszcze bywało się wszak terminach; grunt to wymierzyć sobie zamiary na siły. Z honorem wyjść należy w każdym przypadku. Nie orientując się jeszcze w wysokości cen za produkty pierwszej potrzeby, podzieliłem osiem i pół rubla na czternaście równych części, postanawiając nie przekraczać zaplanowanego jednodniowego budżetu nawet o kopiejkę! Z niedojadania nikt jeszcze nie pękł, a ileż to statecznych osobistości pożegnać się z życiem musiało na skutek przeżarcia!

papierami portfela, poprosiłem o sprzedanie mi kipiącej wody. Podając mi jej ponad życzenie, cały sagan, kuchmistrzynie odepchnęła wyciągniętą ku niej dłoń moją z półrublową monetą, mówiąc z oburzeniem:

— Czego jak czego, ale wody w naszym kraju pić można za darmo ile się zechce. Nawet wrzące.

Wypełniwszy po brzegi gorącą wodą zwiózły już brzuch, z uczuciem błogiej sytości rozbrałem się i ległem w przepysznym miękkiej pościeli hotelowego łóżka, z uczuciem szczęśliwego sknery, że oto pierwszy dzień gościnny za granicą minął, a ja nie zubożałem ani o kopiejkę.

Z cierpliwością biblijnego Joba, Tadeusz starał się dojść do porozumienia i nagiąć swej woli nieposłuszny telefon. Trwając w coraz to zawziętszym uporze, zwyciężyć przekorny ten wymysł cywilizacji, albo... Nie domyślałem się już co...

Mimo iż blisko dziesięć sztuk nowiuteńkich dziesięciurublowek rozpychało mu kieszeń, tym że między ludźmi jest zwyczaj zasilania jadłem utrudzony organizm, tego dnia najwidoczniej i on zapomniał. I kiedy wyspany już i wypoczęty, zbudziłem się po godzinie 23, Tadeusz telefonował jeszcze. Umęczony setnie, niewielkimi już chyba rozporządzał siłami. Marynarkę bowiem i swetr precz od siebie odrzucił, a wychodzące z jego ust i powtarzające się ciągle „hallo” brzmiało coraz cienie. Rano za to spał smacznie jak susel.

Mieszkańcy Moskwy nie śpią ni w dzień, ni w nocy. Niesamowity warkot motorów spalinywych nie milknie ani na chwilę. Głośny ten ruch uliczny budzi ze snu, a denerwuje bardziej niż chrapanie śpiocha.

Skoro świt, uchyliłem nieco okna i pogrzyłem się w obserwacji ulicy moskiewskiej. Boże!... jakież to szerokie!

Kilkunastoma rzędami w jedną i drugą stronę pędzą po asfalcie samochody, z szybkością... jaką z maszyn wydobyć potrafią kierowcy. Sto kilometrów, to sto; więcej, a cóż to szkodzi? Ne zawadzi tu jeden o drugiego, ulice proste, jak strzelił, poprzecznych przejeżdża dla pieszych nie widzę. Piesi zresztą i na chodnikach od nich nie rojno. Jest ranek, śpieszą

stołecznego miasta Związku Radzieckiego. Odwrócił się do mnie plecami, śpi. Warszawiak; wielki miejski młyn uliczny przejeżdżał mu się już dawno. Ja patrzę, podziwiam i zastanawiam się jakby tu obliczyć ilość przebiegających aut w ciągu określone-

STYCZEŃ W DKF

Bywalczy Dyskusyjnego Klubu Filmowego przy WDK w Rzeszowie obejrzą w tym miesiącu sześć interesujących pozycji:

2 I — „W cieniu dobrego drzewa” (USA) — zekranizowany przez Guya Greena w roku 1965 bestseller Elizabeth Kata „Be Ready with Bells and Drums”. Jest to historia miłości niewidomej, białej dziewczyny, wywodzącej się ze społecznego marginesu, do wykształconego Murzyna. Pod warstwą kulturalnie reżyserowanej i doskonale granej „baśni o miłości” (postać Murzyna — Gordona Ralfe kreuje Sidney Pottier) kryją się konflikty społeczne dzisiejszych Stanów Zjednoczonych.

4 I — „Intruz” (USA) — głośny film Orsona Wellesa, opowiadający historię hitlerowskiego zbrodniarza, który próbuje odrzucić od siebie przeszłość, zerwać wszystkie mosty łączące go z dawnymi przyjaciółmi i zbudować nowe, spokojne życie w Ameryce. Film utrzymany jest w konwencji „czarnego kryminału”, tytułową postać odtwarza sam Orson Welles.

9 I — „Darling” (ang.) — komediobudowa reż. Johna Schlesingera, z udziałem Julie Christie oraz Dirka Bogarde’a. Film ten zdobył aż 14 międzynarodowych nagród, w tym 3 „Oscary”. Charakteryzuje go surowy osąd moralny angielskiej klasy średniej i gorzki komizm. Autor scenariusza Frederik Raphael i Schlesinger obrali trudną pozycję złośliwych obserwatorów zdarzeń, o których opowiada sama zainteresowana.

16 I — „Kochać, jak Romeo” (jug.) — dramat psychologiczny, wyreżyserowany przez Jovana Zivanovića, który przedstawia kochanków z Werony w dzisiejszym świecie i zastanawia się, czy romantyczna miłość jest w naszych czasach możliwa. Jest to

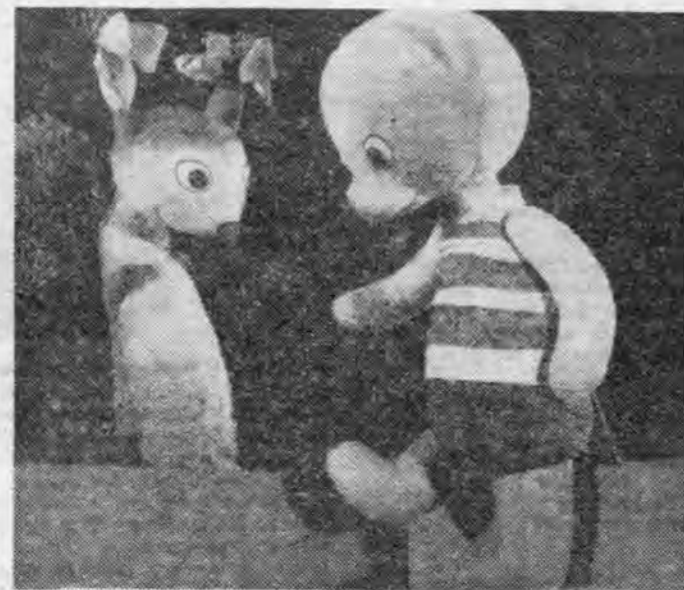
obraz środowiska, w którym prawdziwe uczucie nie ma praw obywatelstwa. Za miłosnym dramatem dwójka młodych kryją się rozważania o różnych postawach wobec życia, o ambicji, chęci „użycia”, nadziei i rozczarowaniu.

23 I — „Krzyżowy ogień” (USA — pula specjalna) — dramat psychologiczno-kryminalny w reż. Edwarda Dmytryka, należący do najbardziej reprezentatywnych utworów tzw. „amerykańskiego realizmu”. Nurt ten usiłował włączyć w orbitę zainteresowań typowego kina hollywoodzkiego powojenną problematykę społeczną Stanów Zjednoczonych. Film podejmuje dra-

styczny problem antysemityzmu, a wszystkie wątki rozwijają się i zbiegają w żelazną wprost logikę. Pod względem konstrukcji i realizacji można go uznać za wzorcowy „kryminał”, przerastający jednak ramy tego gatunku.

30 I — „Nieboszcza” (braz. — pula specjalna) — wyreżyserowany przez Leona Hirszmana dramat obyczajowy, którego akcja rozgrywa się na ponurych przedmieściach Rio i opowiada o nędznej vegetacji ludzi, opętanych nieziszczalnymi marzeniami (jedynym pragnieniem bohaterki jest... wspaniały pogrzeb), pełnych kompleksów, bigoterii i zabobonów.

(jr)



Scena ze sztuki „Przygody Misia” M. Siedmiograjowej wystawionej ostatnio przez Teatr Lalki i Aktora „Kacperek” w Rzeszowie.

Ryszard Dzieszyński

Witolda Fuska rozmowa o duchach

LEGENDY O ŻYCIU POZAGROBOWYM

Od niepamiętnych lat słynie w Bieczu ród Fusków-farmaceutów. Dochował się on już trzech pokoleń aptekarzy: Wilhelma, Witolda i Wiesława. Ale wymienieni farmaceuci nie zasklepiali się w swym zawodzie. Wilhelm był miłośnikiem i znawcą sztuki, Witold pasjonował się etnografią, turystyką i działalnością społeczną, Wiesław, spadkobierca tradycji rodu, aktualnie kierownik apteki w Gorlicach — jest znakomitym malarzem.

Ale nas w tej chwili interesuje Witold Fusek, żyjący w latach 1885—1941, absolwent gimnazjum w Sanoku, który ukończył w 1908 roku studia farmaceutyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim i po 3-letniej praktyce w aptekach krakowskich i tarnowskich, wrócił do Biecza, gdzie objął zarząd ojcowskiej apteki. Wkrótce zasłynął jako działacz społeczny: założyciel Towarzystwa Wstrzemięźliwości, Członek Ludowej im. Tadeusza Kościuszki oraz patriotycznej organizacji Związek Nadziei. Jako prezes Związku redagował jego organ pt. „Młodzież”. Od 1912 roku do 1939 roku pełnił funkcję wiceprezesa rady nadzorczej Spółdzielni w Bieczu.

Największą jednak pasją Fuska stanowiło harcerstwo. Założył pierwszą w Bieczu drużynę skautów, z którą jeździł na międzynarodowe jarmareki do Anglii i Holandii. Uprawiał również turystykę. Zazwyczaj jedna pasja rodzi następną. Nie byłby przeto Fusek regionalnym patriotą, gdyby nie zainteresował się miejscowymi legendami i podaniami, krążącymi wśród starych ludzi.

Wędrując ze swymi harcerzami Fusek natknął się na niejedną taką przypowieść. I tak narodziła się myśl spisania wszystkich legend i podań z ziemi bieckiej i ogłoszenia ich drukiem. Fusek opublikował niektóre legendy w szeregu czasopism wychodzących w Krakowie, Warszawie i Lwowie. Wreszcie zdecydował się w 350 rocznicę śmierci Marcina Kromera, uczonego biskupa i kronikarza, rodem z Biecza, wydać własnym nakładem książkę pt. „Biecz i dawna ziemia biecka na tle swoich legend, bajek, przesądów i zwyczajów”.

— „Wydając więc te legendy i podania — zupełnie nie chodzi mi o obiektywną prawdę historyczną lub datę — pisał Fusek na wstępie. — Mnie chodzi przede wszystkim o to, by dać wierne odbicie wypadku historycznego w duszy ludu, w jego fantazji i wyobraźni, chodzi mi o jego refleks, o to, jak człowiek prosty wyobraża sobie i tłumaczy, czego rozum pojąć nie może.”

Jest to bardzo cenna dla etnografów książka. Fusek zebrał w niej ogromną ilość legend, segregując je w rozmaitych dziedzinach życia społecznego. Ale najciekawszą jej część stanowi chyba opis wierzeń ludowych dotyczących życia pozagrobowego, który autor skonstruował w świetle krążących legend i podań. Życie pozaziemskie stanowiło zawsze niewyczerpane i bardzo atrakcyjne źródło tematów. Fusek doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nie na darmo urodził się w Bieczu, gdzie ludność darzyła życie pozagrobowe szczególnym zainteresowaniem.

— „Od dziecięcych lat ja i garstka moich mieszczkańskich towa-

rzyszy i kolegów obracamy się stale wśród ruin i grobów, wśród kości i trumien, wśród tajemniczych piwnic, pieczar, krużganków, tajemniczych drzwi, bram etc. — wśród wiadomości o duchach, diabłach, królach i królowych, zbrojach i rycerzach. Muszę stwierdzić, że my, bieccanie, stale żyjemy z przeszłością. Tutaj z duchami się rozmawia, od nieboszczyków otrzymuje się polecenia i znaki. Diabły, boginki, mamuny, topielce — to wszystko jeszcze żyje. Czyż dawne to czasy, jak magistrat Bieccza za pomocą bębna ogłaszał wszem i każdemu z osobna, żeby się nie kapali pod skałą, bo się pojawił topielec. A dawniejsze to prawda, ale znowu nie tak bardzo, gdy magistrat kradzieży w swych depozytach dochodził za pomocą czarów. My żyjemy z duchami. Nasze miejskie wzgórze to jeden grobowiec.”

Wszystkie legendy o duchach Fusek posegregował na grupy. Najwięcej było legend o księżach, którzy pozostawili niedopowiedziane zobowiązania. Wrócili oni na ziemię tak długo, aż udało im się skłonić kogoś z żyjących, by za nich te zobowiązania wypełnił. Chodziło najczęściej o zakupienie a nie odprawione msze, co oczywiście stawia pod znakiem zapytania zawodową solidność tych księży. Ale zdarzył się przypadek, kiedy ksiądz nie odprawił mszy bez swojej winy. Żył w XVII wieku reformator ks. Kwintowicz. Gdy podczas zarazy panującej w Bieczu powymierali wszyscy księża, zastąpił ich w obowiązkach duszpasterskich. Ludzie umierali jak muchy i ksiądz miał nawał pracy. Niestety, sam wkrótce również zmarł na zarazę, pozostawiając 175 nieodprawionych nabożeństw. W niebie za zasługi w pielęgnowaniu chorych i udzielanie im pociech religijnych został zaliczony w poczet biskupów. Mimo to zobowiązania należało wykonać i ks. Kwintowicz z nastaniem północy zjawiał się w kościele w szatach biskupa i starał się odprawić mszę. Przypadkowo natknął się na starego organistę, któremu wytłumaczył swe przykre położenie i który zgodził się służyć mu do mszy. Następnie duch ubłagał organistę, by poinformował proboszcza o jego zobowiązaniu, z prośbą aby pozostałe msze rozdzielił między wikariuszy. I tak też się stało, a duch niebiańskiego biskupa mógł już spokojnie cieszyć się wiecznością.

Drugą grupę stanowiły duchy obrażone i reagujące na tę obrazę. Pewna staruszka opowiadała Fuskowi, że jako młoda dziewczyna była świadkiem przekopania cmentarza parafialnego przez proboszcza, po czym nastąpiła uroczysta procesja, w czasie której ludzie nieśli w rękach wygrzebane kości. Ona brzydziła się piszczałkami i nie wzięła kości do ręki. Wówczas w nocy odwiedził ją duch, który nawymyślał jej i nawygrażał, obiecując powtórzyć wizytę, jeśli nie obejdzie kościoła z kością w ręku, tak że przerażona niewiasta pobiegła na cmentarz, skoro świt i życzenie ducha spełniła. Pewnego szewca niepokoił znowu duch wojewody Ligęzy, ponieważ w czasie przeprowadzenia prac konserwatorskich w krypcie Ligęzów, szewca ukradkiem wydziubał z wieka trumny złoty gwóźdź. Duch wojewody dopoty nie dał mu spokoju,

dopóki szewc nie zwrócił gwóźdźka.

Ciekawą legendę usłyszał Fusek od pewnego starca z serii trzeciej kategorii: gromadnych nabożeństw duchów. Mianowicie dziecku umarła matka. Sierota tęskniła za zmarłą i ciągle płakała. Wtedy ksiądz poradził jej, aby w Zadzuszki ukryła się w nocy we framudze kościoła i wtedy zobaczy matkę. Rzeczywiście: punktualnie o północy do kościoła weszła procesja duchów. Na ostatku szła matka niosąca dwa dzbanki, pełne łez sieroty. Gdy zobaczyła swoje dziecko, rzuciła się na nie, rozbiła mu na głowie dzbanki i zwymyślała za to, że ją niepokoi wciąż swym płaczem. Inne legendy opowiadały o całych nabożeństwach, duchów ze świecami i graniem organów, które przypadkowi ludzie widzieli, a nawet w nich uczestniczyli.

Czwarta grupa legend odnosiła się do duchów tajemniczych, zjawiających się bez powodu i nie mówiących, co ich sprowadza na ziemski padół. Szereg ludzi rzekomo widywało jakiegoś ducha żołnierza spacerującego po lochu ratuszowym, albo też uprzejmego księdza, który otwierał furtkę przechodniom, czy też kościotrupa, któremu było widocznie niewygodnie w trumnie, ponieważ wciąż

zmieniał pozycję. Wreszcie ostatnia kategoria zjawisk nadprzyrodzonych — „objawy nieosobowe” — jak nazywa je Fusek. Tutaj przykładów można mnożyć bez liku: drzwi, które otwierały się same, albo kościół w którego wnętrzu wciąż paliło się światło, mimo iż kościelny wychodząc pogasił wszystkie świece.

Jakie konkluzje wyciągnął biecki farmaceuta z tych legend? Ustosunkował się do nich raczej sceptycznie. Wiele z nich potrafił sam wyjaśnić, ponieważ rodziły się na tle zjawisk, których nieraz był świadkiem. W każdym razie jedno było dla niego pewne. Nie wdając się w rozważania nad prawdziwością tych legend, Fusek stwierdził, że nie stanowiły one wcale żadnej wizji świata pozagrobowego, tylko mówily o zatławianiu przez zmarłych swoich ostatnich ziemskich spraw, których za życia nie zdali, czy też nie mogli zatławić. Zatławianie to następowało często z gniewem, irytacją i zniecierpliwieniem, że ich ziemia jeszcze trzyma. A w ogóle dlaczego duchy wracają na ziemię? W świetle tych legend, okazuje się, że jest to dla nich przykry i bolesny mus. Wracają za karę, nieraz we własnym interesie. W każdym razie duchy nie są zadowolone z powrotu na ziemię, skoro nawet

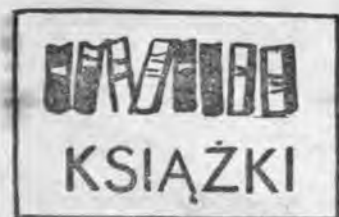
matka bije córkę, za to, że ją niepokoi swoimi łzami. Z ugią też opuszczają ziemski padół, śpiesznie dążąc w zaświaty.

Zebrały przez Fuska materiały etnograficzne wnoszą duży wkład do wiedzy o genezie wierzeń ludowych oraz o samych wierzeniach. Dzisiaj, w erze podboju kosmosu śmiesz nas te bajeczki, ale słucha się ich z przyjemnością, jako wytworów wyobraźni naszych przodków.

Jakie były dalsze losy Witolda Fuska? Wkrótce po wydaniu jego książki wybuchła II wojna światowa. Fusek odbył chlubnie kampanię wrześniową, po czym włączył się do Ruchu Oporu. Aresztowany w 1940 r., został wypuszczony z więzienia, ale nie na długo. Wkrótce znowu dostał się w ręce gestapo. Przez pewien czas przebywał w więzieniu w Jaśle. Potem przewieziono go do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Tam zachorował na krwawą biegunkę. Aż do ostatnich chwil życia opowiadał współwięźniom dawne legendy i podania, przez co pomagał im choćby na moment — zapomnieć o ponurej rzeczywistości obozowej. Pisze o tym Józef Kostrzewski, który poświęcił mu krótkie wspomnienie w „Polskim Słowniku Biograficznym”. Fusek zmarł 6 grudnia 1941 roku.



Zimowa droga — CAF



Rusinek Michał: WIOSNA ADMIRALA. MUSZKIETER Z ITAMARIKI. KRÓLESTWO PYCHY. TRYLOGIA HISTORYCZNA. PIW s. 448+394+624, cena 75 zł.

Pisarz starszego pokolenia, autor licznych powieści o tematyce okupacyjnej i współczesnej oraz sztuk teatralnych. Wymieniona trylogia jest powieścią historyczną o Krzysztofie Arciszewskim, artanie i żołnierzu, który musiał jako banita uciekać z kraju i na obczyźnie walczyć o siawę i prawo powrotu do ojczyzny. Ukazuje jego walki w Holandii i Brazylii oraz powrót do kraju. W

ostatnim tomie tłem wydarzeń jest panowanie Władysława IV i pierwszy okres wojny kozacko-polskiej.

Konstanty Fiedin: PIERWSZE PORZYWY. PIW, s. 444, cena 15 zł.

Czwarte wydanie znanej powieści o rewolucji i wojnie domowej w ZSRR. Autor stara się tu pokazać, jak rewolucja zmienia warunki życia, a wraz z tym i ludzi. Pierwsze porzywy rewolucji ukazane są w świetle zagadnień sztuki, teatru i literatury.

Kornel Filipowicz: OPOWIADANIA WYBRANE. Wyd. Literackie s. 378, cena 35 zł.

Obszerny tom kilkudziesięciu opowiadań o różnorodnej tematyce. Są wśród nich związane z latami okupacji i ukazujące wpływ wojny na życie i psychikę człowieka.

Kornel Filipowicz: DZIEWCZYNA Z LALKĄ CZYLI O POTRZEBIE SMUTKU I SAMOTNOŚCI. Wyd. Literackie s. 198, cena 10 zł.

Jeszcze 9 krótkich opowiadań o ludzkich przeżyciach i zdarzeniach. Psychologiczne.

Cezar Petrusca: FRAM NIE-DZIEDZ POLARNY; Przel. Danu-

ta Bieńkowska. Iskry s. 282, cena 20 zł.

Powieść pióra rumuńskiego autora dla młodzieży. Bohaterami są zwierzęta — przede wszystkim cyrkowej miś — Fram.

Wadim Frolow: CO I JAK... Przel. Zofia Dudzińska. Iskry s. 233, cena 15 zł.

Opowieść dla dorastającej młodzieży. Tematem jej są przeżycia chłopca opuszczonego przez matkę. Dorastanie, uczenie rozumienia trudnych życiowych problemów.

Lesław M. Bartelski: WALCZĄCA WARSZAWA. KIW s. 158, cena 12 zł.

Jeszcze jedna książka o bohaterstwie postawie mieszkańców Warszawy w latach okupacji hitlerowskiej. Szczególnie zaakcentowana walka we wrześniu 1939 i w powstaniu warszawskim. Ilustracje.

W. Kubicki, E. Waszczuk: ODRA POLSKA RZĘKA. KIW, s. 421, cena 30 zł.

Na wstępie kilka dat i liczb z historii. Kolejno, osiągnięcia w okresie Polsk Ludowej ziem położonych nad Odrą; przez Opolszczyznę, ziemie dolnośląską i Ziemię Lubuską — do Szczecina i Swinoujścia.

A. A. Greczko: BITWA O KAUKAZ. MON s. 469, cena 56 zł, mapy.

W pracy tej autor — marszałek Związku Radzieckiego — ukazuje najważniejsze działania wojenne w bitwie żołnierzy radzieckich o Kaukaz. Ukazuje ich bohaterstwo połączone z wysiłkiem partyzantów i partyjnego podziemia. Praca ma charakter dokumentalny. Zawiera liczne ilustracje.

Kazimierz Moszyński: KULTURA LUDOWA SŁOWIAN. T. 2, cz. 2. Wyd. 2. KIW s. 1107, cena 150 zł.

Prezentowana część „Kultury ludowej Słowian” zajmuje się kulturą duchową. Omawia sztukę ludową Słowian łącznie z literaturą ustną oraz onomastyką i symboliką znaków.

BUDOWNICTWO I ARCHITEKTURA W POLSCE 1945—1956. Praca zbiorowa pod red. J. Zachwatowicza. Wyd. Interpress s. 113, cena 55 zł.

Książka zawiera omówienie dziejów architektury polskiej okresu powojennego oraz zwięzłą charakterystykę poszczególnych działów bu-

downictwa. Znajdziemy tu również dokładniejszą analizę ciekawszych realizacji budowlanych. Bogaty materiał ilustracyjny.

Nowości Państwowego Wydawnictwa Rolniczego i Leśnego:

Janusz Kozakiewicz: POLONY W GOSPODARSTWIE ROLNYM. Wyd. 2, s. 320, cena 25 zł.

Bohdan Kopeć: SYSTEMY GOSPODARSTWA W ROLNICTWIE POLSKIM W LATACH 1955—1963. s. 538, cena 63 zł.

Wojciech Empel: PIELEGNACJA RACIC I SCHORZENIA PALCÓW BYDŁA. Postęp w weterynarii. s. 179, cena 18 zł.

Nowości Wydawnictwa Morskiego:

Tadeusz Ocioszyński: ROZWÓJ ŻEGLUGI I MYŚLI MORSKIEJ. s. 320, cena 35 zł.

Władysław Nowacek: RACHUNEK KOSZTÓW W PRZEDSIĘBIORSTWACH TRANSPORTU MORSKIEGO. s. 158, cena 20 zł.

Kartki dla Ewy

Ferie

Zimowe wakacje to najczęściej tylko czas wolny od nauki, czyli po prostu bezczynność. Dzieci zamiast odpocząć, nabrać sił na drugie półrocze nudzą się, jak mopsy, a rodzice truchleją ze strachu, co też za nowy dowcip wymyślą ich pociechy. Trudno się zresztą im dziwić. Dziecko pozostawione samopas zwykle płać psie figle, a nam nikt nie da opiekuńczego urlopu. Dlatego też w okresie ferii, częściej niż kiedykolwiek naszym podlotkom i niedorostkom aplikujemy szczególnie „podział godzin”. Polega on na trzepaniu chodników, zakupach, odgrzewaniu obiadu dla całej rodziny i innych równie interesujących zajęciach. Program ten wynika po trosze z obawy, by w czasie naszej nieobecności młodzież nie włóczyła się po mieście i nie wysiadywała w kawiarniach, ale także z wygodnictwa dorosłych. Bardzo to miło nie trudzić się gospodarstwem po pracy. Łatwo jednak zapominamy, że zimowe wakacje są dla dzieci.

Idealem byłoby wysłanie całej młodzieży na zimowiska. Władze oświatowe i pedagodzy debatują nad tym zagadnieniem od lat. Z roku na rok sytuacja się poprawia, ale ciągle daleka jest od doskonałości. Adaptacja wielu ośrodków letnich na zimowiska, zagospodarowanie nowych obiektów wymaga znacznych nakładów inwestycyjnych. Niestety, o tej porze roku nie można ustawić namiotów na skraju dąbrowy, ani warzyć galop-zupki przy obozowym ognisku. Trzeba solidnych, dobrze ogrzanych domów, ciepłej pościeli, sprzętu sportowego, bo zima bez nart i sanek nie ma uroku. Ważny jest też ekwipunek osobisty. Dla niejednej rodziny to zbyt duży wydatek, zwłaszcza gdy dzieci jest kilkoro. Ciepły płaszcz ma każde dziecko, ale trudno w nim jeździć na łyżwach, a do zwykłych botków nart przypiąć się nie da, choćby ze względów bezpieczeństwa.

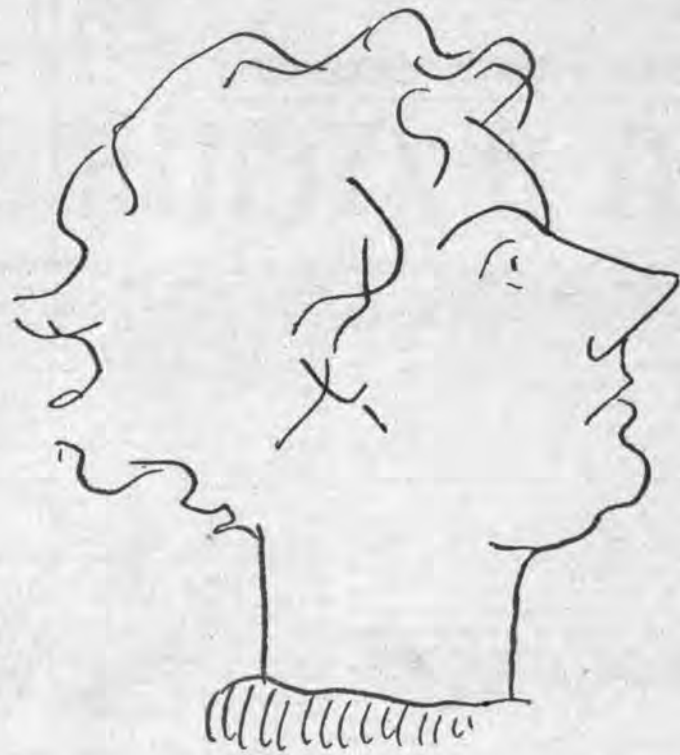
Zimowiska rozpatrywać można z różnych aspektów. Najważniejsze są kwestie zdrowia i rekreacji. Zimą w mieście nie ma zbyt dużo słońca i przeważnie nikt z niego nie korzysta spędzając większość czasu w źle wietrzonych pomieszczeniach. Lekarze twierdzą, że nawet krótki wypoczynek na świeżym powietrzu jest w tym okresie szczególnie wartościowy. Chłód znakomicie hartuje, a promienie ultrafioletowe też mają swoje znaczenie. Wszystko to jak najbardziej potrzebne jest młodzieży. Nauka w szkole i wiele innych obowiązków, jakimi obciążone są nasze dzieci, to nie bagatelka. Wiemy, że programy szkolne są obszerne i na dobry stopień trzeba się solidnie napracować. Dzień pracy u młodzieży często przekracza 8 godzin.

Mimo to, olbrzymia większość dzieci zażywa ruchu tylko na podwórkach, goni po ulicach urwawszy się spod trokliwych skrzydeł rodzicielskich. Nigdy nie mamy czasu i ochoty na zimową wycieczkę. O wyjeździe na urlop w grudniu lub styczniu mówią tylko niektórzy narciarze.

Dobrze jest, kiedy szkoły organizują zajęcia w czasie ferii. Takich jednak nie ma za wiele, choć zimowe półkolonie nie są chyba trudne do zrealizowania. Pewne formy opieki mogłyby być nawet odpłatne przez rodziców. Nie chodzi o wyciąganie pieniędzy z domowej kasy dla kaprysu tylko o dobro dzieci.

Na razie jednak plany te są w sferze projektów. Nielicznym tylko udało się dzieci wysłać w zimowy plener. Reszta nie zwraca sobie głowy tą sprawą lub szuka pomocy w nigdy nie zawodnych instytucjach dobrych cioci i dziadków.

BEGA



JADWIGA WOZNAK — przewodnicząca Rady Klubu Międzypodzielnicznego przy PZGS w Jaśle.
Rys. J. SIENKIEWICZ

ZDARZENIA TYGODNIA

W dniu 28 ub. m. obradowało w Rzeszowie plenium Zarządu Okręgu Zw. Zaw. Pracowników Kultury i Sztuki, w którym wzięli również udział przewodniczący rad zakładowych. Tematem posiedzenia było omówienie zadań Związku, wynikających z Uchwały V Zjazdu partii oraz wytyczne do kampanii sprawozdawczo-wyborczej zakładowych organizacji związkowych.

Uczestnicy plenium ustalili plan pracy na rok 1969, zakładający m. in. zwiększenie wpływu na realizację polityki kulturalnej oraz wzmocnienie pracy ideowo-wychowawczej wśród załóg pracowniczych.

Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych i Wojewódzki Dom Kultury zorganizowały osiatnio w Rzeszowie seminarium instruktorów oświatowych, prowadzących pracę z dziećmi i młodzieżą. Uczestniczyło w nim ponad 50 przedstawicieli placówek państwowych i związkowych. Zajęcia poświęcone były omówieniu założeń programowych „Karnawału Młodości w 25-lecie PRL” i wynikających z nich tematów, tj. społecznej funkcji dziecięcego ruchu amatorskiego i roli placówek kulturalno-oświatowych w działalności z dziećmi i młodzieżą, wynikającej z Uchwały V Zjazdu PZPR. Uczestnicy seminarium wzięli również udział w pokazowej imprezie karnawałowej, przygotowanej przez ZDK „Tapima” w Tarnobrzegu. Następne tematy zajęć to znaczenie pracy społecznie użytecznej w wychowaniu młodzieży i rola wychowawcza zajęć rekreacyjnych z młodzieżą.

Zespół dramatyczny „Maska”, działający przy Prez. PRN w Krośnie zaprezentował ostatnio interesującą pozycję repertuarową — reportaż sceniczny w dwóch aktach Rolfa Schneidera pt. „Przybysz z Anglii” w przekładzie Gabrieli Mycielskiej. Spektakl reżyserował Witold Janiczek.

W dniu 29 ub. m. w klubie WDK „Turkus” odbyła się impreza pt. „Zaspiewaj razem z nami”. Jest to kolejna inicjatywa tej placówki, zmierzająca do rozpięwania młodzieży i popularyzacji piosenek. Sądzi się, że zdoła ona popularność wśród rzeszowskiej młodzieży, o czym świadczy chociażby liczba uczestników. Tych, którzy jeszcze nie uczestniczyli w spotkaniu śpiewających informujemy, że 12 bm. mogą się nauczyć nowej piosenki, a nawet zdobyć tytuł najlepszego wykonawcy danej piosenki, a na zakończenie zapianowanego cyklu nawet laureata laureatów.

Uczestnicy ostatniego „Poniedziałku teatralnego” w klubie „Turkus” usłyszeli „Czarne kwiaty” według Cypriana K. Norwida, w reżyserii D. Dubiela.

Wykonawcami byli członkowie Teatru Poezji WDK.

Odnawiamy kolejne regionalne wydawnictwo. Jest nim pierwszy rocznik Lubaczowskiego Towarzystwa Miłośników Ziemi Lubaczowskiej. Publikacja pod redakcją Stanisława Kosiorowskiego, Ryszarda Moskala i Mariana Szabatowskiego zawiera rozprawę: „Powiat lubaczowski w świetle badań archeologicznych” J. Machnika, „Lubaczów i ziemia lubaczowska do połowy XVII wieku” M. Horna, „Lubaczów i okolice na przełomie XVIII i XIX wieku” K. Wolskiego, „Sztuka ludowa w Lubaczowskiem” S. Lwa.

Oprócz wymienionych pozytywnie wydawnictwo zawiera także sylwetki ludzi związanych z ziemią lubaczowską, tj. dowódcy obrony lądowej Wybrzeża w 1939 r. gen. St. Dąbka i kapitana Władysława Ważnego, członka ruchu oporu we Francji (był szefem wywiadu wojskowego polskiej grupy w Lille) i inne informacje.

Kronika filmowa

„WESTERPLATTE” W KANADZIE

Podczas uroczystego wieczoru urządzanego z okazji 50 rocznicy odzyskania niepodległości Polski, w konsulacie PRL w Montrealu wyświetlono film Stanisława Różewicza „Westerplatte”. Film wywarł duże wrażenie na przedstawicielach kanadyjskiej Polonii.

LUCIA BOSE W „SATIRICONIE” FELLINIEGO

Od lat nie oglądana na ekranach Lucia Bose przyjęła propozycję udziału w najnowszym filmie Federico Felliniego „Satiricon”. Ostatnim filmem nakręconym przez popularną gwiazdę we Włoszech jest „Dama bez kameili” zrealizowana w 1952 r. przez Michelangelo Antonioniego.

„OLIVER TWIST” — KOLOROWYM MUSICALEM

Na ekrany kin wchodził w dniach Bożego Narodzenia kolorowy musical oparty na znanej powieści Dickensa „Oliver Twist”. Prasa pisze o tym filmie jako o „rewelacji równie „Mary Poppins”. Tytułową rolę powierzono 10-letniemu Markowi Lesterowi, który występował już poprzednio w filmie Francois Truffaut „Fahrenheit 451” pokazanym na

festiwalu w Wenecji w roku ubiegłym. Jasnowłosa i ciemnooki Mark stał się ostatnio bohaterem licznych wywiadów prasowych, jeździł też po wielu krajach prezentując „Olivera Twista” na seansach przedpremierowych.

W KANADZIE W UBIEGŁYM WIEKU

Francis Cosne, który finansował filmy o markizie Angelice, wyprodukuje film według powieści Gilberta de Voisins „Le bar de la Fourche”. Akcja utworu rozgrywa się w Kanadzie w ubiegłym stuleciu, a bohaterami są poszukiwacze złota i drwale. Reżyserię obejmuje Yves Boisset. Zdjęcia rozpoczyna się w maju przyszłego roku podczas wielkiego spławu drewna.

ERIPRANDO VISCONTI KRĘCI „ZAKONNICZĘ Z MONZY”

Bratanek Luchino Viscontiego, Eriprando Visconti podjął się ekranizacji powieści Alessandro Manzoni „Zakonnicza z Monzy” (La monaca di Monza). Film realizowany we Włoszech ma międzynarodową obsadę. Wystąpią m. in. Anne Heywood, Hardy Kruger, Antonio Sabato i Carla Gravina.

Na naszym ekranie

MARIO ADORF

Nowa gangsterska komedia Dino Rosiego „Operacja święty Januarius” odniosła krótko po wejściu na ekrany taki sukces, że autor postanowił zrealizować całą serię takich filmów. Kolejny obraz nosi tytuł „Operacja święty Piotr”, a następny „Dudu w Nowym Jorku” (Dudu — herszt gangu — przyp. sz.). Tematem serialu są perypetie szajki, która specjalizuje się w kradzieży wszelkich drogocności, jakimi wierni obdarzają figury swoich ulubionych patronów.

W „Operacji św. Januarius” bawili nas znani i lubiani aktorzy: Nino Manfredi, słynny Toto (był to jeden z jego ostatnich filmów przed śmiercią), zyskująca sobie coraz większą popularność wiedeńska gwiazdka Senta Berger, ale z okazji tego filmu chciałbym przedstawić państwu innego aktora, grającego w nim rolę drugoplanową — Mario Adorfa. Samo nazwisko niejednemu Czytelnikowi może nie mówić, ale rzut oka na zdjęcie pozwoli wielu kinomanom stwierdzić, że ta twarz wydaje się im znajoma. Istotnie „z widzenia” znamy Mario Adorfa od dość dawna, ale wiemy o nim

zbyt mało, pozwólcie zatem, że temu właśnie aktorowi poświęcę naszą dzisiejszą rubrykę.

Mario Adorf urodził się 8 września 1930 roku w Zuerichu, w Szwajcarii, ale z pochodzenia jest Niemcem. Studiował literaturę współczesną, anglistykę i filozofię, ale zniechęcił go aktorstwo i rozpoczął naukę w znanej szkole teatralnej Falckenberga w Monachium. Po uzyskaniu dyplomu rozpoczął pracę w tym samym mieście w zespole Kammerspiele.

W filmie zadebiutował w roku 1954 i ten jego pierwszy występ na ekranie starsi widzowie kinowi z pewnością pamiętają. Był to znany film według powieści Helmuta Kästera „08/15”.

Odtąd propozycje filmowe płynęły „ciurkiem”. „Nocą, kiedy przychodzi diabeł”, „Dziewczyna Rosemarie”, „Starek śmierci”, „Kim pan jest, doktorze Sorge?”, „Winnetou”, „Żołnierki”, „Znałem ją dobrze” — oto tylko kilka obrazów, jakie widzieliśmy u nas w Polsce spośród dziesiątków filmów, w jakich wystąpił.

Warunki zewnętrzne sprawiły, że ten kulturalny, inteligentny, o bardzo łagodnym charakterze

człowiek gra najczęściej postaci ludzi okrutnych, grubiańskich, samolubnych tępaków i łobuzów. Silny, krępy, z kanciastą, wysuniętą do przodu dolną szczęką wydaje się reżyserom wprost idealny do takich właśnie ról.

Sam aktor usiłuje jednak uciekać od tego schematu. Chętnie występuje w najmniejszych nawet rolach, które odbiegają od niego, w innych usiłuje nawet najbardziej negatywnym postaciom nadać jakieś cieplejsze ludzkie cechy. „Dziewczyna Rosemarie”, gdzie grał jednego z młodych chłopców grających i śpiewających uliczne ballady, czy rola kaprala Castanogli w „Żołnierkach” są tego ważnym, choć nie jedynym dowodem.

Studia humanistyczne wyszły na dobre aktorowi. Doskonała znajomość języków: angielskiego, włoskiego i francuskiego sprawiła, że z łatwością może występować w filmach realizowanych poza jego ojczyznę. To też reżyserzy francuscy, włoscy, a nawet amerykańscy nierzadko korzystają z jego usług. Najczęściej występuje Adorf w filmach włoskich i dzięki nim zy-



skął sobie powodzenie u publiczności. Uważny widz bowiem zauważyłby, że ten zdawałoby się ponury, groźny człowiek ma dobre, wesołe oczy, a jego uśmiech jest serdeczny i miły; to nie mogą być oczy i uśmiech oprysk. A że niejednokrotnie nie lubimy Adorfa na ekranie w roli jakiegoś ładaco ba, życzymy mu najgorszego — to właśnie sprawa talentu aktorskiego, sprawiającego, że bez zastrzeżeń wierzymy we wszystko, co nam aktor z ekranu podaje. A talent Adorf ma i być może zobaczymy go jeszcze w roli, na jaką sobie dawno zasłużył.